

nadodrze

ZIELONA GÓRA
ROK XXXII NR 12 [669]

12 — 25 VI 1988 R.
CENA 40 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

o Polsce myśląc

ZDEPTANEGO
PODNIĘŚĆ

sceny
mitosne

RYBACY

Zwycięstwo
za trzy punkty
○○○○○
homo
czy hetero?

FILMOWY PŁON

Leon Bukowiecki

31 filmów polskich premierowych pokazanych od czerwca 1987 r. do maja 1988 r. to na pierwszy rzut oka wynik nienajgorszy. Zwłaszcza jeśli się zważy, że w sezonie 1988-9 będzie ich znacznie mniej, a w poprzednim było znacznie więcej.

Niektórzy zwany twierdzą, że właściwa ilość filmów produkowanych w kraju nie będną potęgą winna wynosić jeden film na milion mieszkańców. Norma dla Polski brzmiałaby więc 36 filmów rocznie. Mielismy ich kiedyś o wiele mniej, niedawno znacznie więcej (po nad 40), obecnie znów opadamy w ten pie zastraszającym.

Co więcej, niektóre z filmów dumnie wciąganych na listę premier są tylko zestawami i to bardzo słabymi — seriali telewizyjnych dla dzieci, a więc uczucie trudno je uznać za premierowe, a kilka stanowi filmy „półkowe”, które nagle — i na szczęście — znalazły się na ekranach, ale rzecz jasna nie wszystkie wzbudziły oczekiwany rezonans; były wśród nich przebrzmiałe, tak jak w zeszłym sezonie, „Ręce do góry” Skolimowskiego.

Ponadto, zestaw tu przeze mnie prezentowany doroczny zwyczajem na la mach „Nadodrza” nie jest równy dla wszystkich dzielnic kraju, gdyż niektóre filmy mogły się w danym okręgu je szcze nie pokazać, a może, się zdarzyć także film, który nagle „wyskoczy” a w me statystyce jeszcze się nie znalazł.

Zgodnie z tyloletnim zwyczajem najpierw próba kategoryzacji. Zapewne ku zdumieniu wszystkich najbardziej deficytowy jak dotychczas rodzaj filmowy przeznaczony dla dzieci i młodzieży zajmują tym razem czołowe miejsce w statystyce. Widzieliśmy 11 filmów dziecięco-młodzieżowych ponad 1/3 wszystkich, które znalazły się w okresie sprawozdania na naszych ekranach!

Były to trzy zestawy rysunkowe „Sposób na wakacje”, „Bałki Boika i Lolka”, oba Bronisława Zemana oraz „Zima w Dolinie Muminków” Lucjana Debińskiego.

Nie mogę obiektywnie ocenić dwu pierwszych filmów, bo wbrew znakomitej sprzedaży i licznym zachwycom zupełnie nie trawie postaci Boika i Lolka dla mnie nieznosnie schematycznych, aby nie powiedzieć niechlujnych. Natomiast „Muminków” po prostu nie widziałem.

Pozostałe filmy dla dzieci to: „Pan samochodzik i niesamowity dwór” Janusza Kidawy, „Biały smok” polsko-amerykański Jerzego Domaradzkiego, „Cudowne dziecko” polsko-kanadyjski Walde-

mara Dzikiego, „Czarne stopy” Wojciecha Podgórskiego, „Opowieść Harleja” Wiesława Helaka i „Kingsajz” Juliusza Machulskiego.

Właściwie tylko „Cudowne dziecko” wybiła się ponad przeciętność, dzięki świetnemu pomysłowi, sprawniej reżyserii, aktualnemu tematowi i uroczym grze młodego Rusty’ego Jedwabia.

Z filmem tym mógłby konkurować „Kingsajz”, wybitnie pomysłowego Juliusza Machulskiego, gdyby film ten nie był cofnięciem się — i to niestety znacznym — w stosunku do trzech poprzednich filmów tego utalentowanego reżysera, którego „Seksmissia” była supersensacją.

Cóż powiedzieć o reszcie? Dominującą porażką artystyczną, filmem totalnie pozbawionym sensu, był „Niesamowity dwór” przede wszystkim ze względu na ordynarność gry „aktorskiej”, w której ostatnio specjalizuje się Janusz Kidawa, kiedyś świetny debiutant. Co się stało temu reżyserowi? Jerzy Domaradzki na całej linii zawiódł „Białym smakiem”, który był po pierwsze zielony, a po drugie całkowicie nieruchawy. W dobie supertechniki filmowej nie wolno robić takiego kłota. Znow to samo: świetny dotychczas Domaradzki zagubił się w tym „filmie doszczętnie”. „Czarne stopy” były filmem zaledwie poprawnym, jak na przebiegłego twórcę, który dotychczas niczym się nie odznaczał, więc nikogo nie zawiódł, a „Opowieść Harleja” debiutanta Helaka została przełknięta tylko dzięki kapitalnemu udziałowi Janka Janowskiego i Andrzeja Pieczyńskiego — obu w nallenszej formie komediowej.

Jeden film bardzo dobry, jeden udany i cztery niewypały (nie licząc powtórek TV) — to marny płon. Dwa filmy dla starszej młodzieży: „Trzy kroki od miłości” Ryszarda Rydzewskiego wywoływały żal, że reżyser nie postawił jeszcze czwartego kroku i nie darował sobie realizacji tego filmu, natomiast „Śmierć Johna L.” Tomasza Zygadły stała nową całkowitą zagadką. Być może



ciąg dalszy na str. 8

„Krótki film o zabijaniu” reż. Krzysztof Kieślowski

Dialog trwa

Kolejne w ostatnich trzech latach, po Genewie, Reykjaviku i Waszyngtonie, moskiewskie spotkanie na szczycie przeszło już do historii. Dialog trwał — Zachód trwał. Aby ten dialog trwał, niezbędne są właśnie takie spotkania. One nadają mu tempo, określają wymiar, z gęszcżą prze różnych problemów wybierają najważniejsze, wreszcie wytyczają kierunki dalszych rozmów i ustaleń. Tak było również w Moskwie. Bez specjalnego trudu można dostrzec, że tempo w tym dialogu dyktuje strona radziecka. Ale sukces jest wspólny. W powojennych latach nie było takiej ofensywy pokoju, jak w trzech ostatnich. Ofensywa ta ze strony radzieckiej nie słabnie i to już napawa dużym optymizmem.

Wszystko wskazuje, że lata zimnej wojny, w których po obu stronach nagromadzono nie tylko przepiękne góry wszelkich rodzajów broni, ale także wzajemnej niechęci i nieufności, są już poza nami. Rozpoczęły się czasy dialogu, odprężenia i rozbrojenia. To, co jeszcze niedawno — wizja świata bez broni i wojen — wydawało się utopią, czymś absolutnie nierealnym, krok za krokiem, przysila się nabierać wprawdzie jeszcze bardzo odległego, ale realnego kształtu. Po wymianie na Kremlu „instrumentów ratyfikacyjnych” dotyczących podpisania w Waszyngtonie układu o eliminacji rakiet średniego i krótkiego zasięgu (INF), Michail Gorbaczow powiedział, że od tej chwili zaczęła się nowa era, era likwidacji broni jądrowej. Nie wiem, przypadkowo czy celowo, stało się to w Dniu Dziecka. To był także dla nich wspaniały prezent. Wchodząc w dorosłość na początku przyszłego tysiąclecia może właśnie one wejść w świat bez broni i wojen.

Następny wielki krok zrobiony w Moskwie to zgoda na 50 procentową redukcję ofensywnych broni strategicznych czyli pocisków międzykontynentalnych, i na wiele większych i mniejszych rzeczy. Należy mieć nadzieję, że układ w sprawie likwidacji o połowę broni strategicznej, niezwykłe skomplikowany w szczegółach (a jest ich dosłownie tysiące) zostanie zawarty jeszcze za prezydentury Reagana. Wydaje się, że prezydent Reagan będzie chciał do trzymać słowa i „dobrze wykorzystać czas”, który mu pozostał do końca kadencji. Przy okazji wymienię z Michaiłem Gorbaczowem wieczne pióra. Należy przy puszczać, że jednakowej wartości. Podpisanie tego układu podkopałoby bardzo kontrowersyjny również w USA, program wojen gwiazdowych, o którym kandydat na demokratycznego prezydenta w najbliższych wyborach do Białego Domu Michael Dukakis wyraził się, że „jest czystą fantazją”.

Rozmowy na szczycie, i to jest ich kolejna cecha, nie zwalniają z troski o zachowanie pokoju, o rozbrojenie i odprężenie, żadnego z państw, nawet najmniej tego. Idea świata bez wojen i broni, o której tak przekonująco mówił wielokrotnie Michail Gorbaczow, musi być dziełem wszystkich. I tych najbliższych, i tych najdalszych.

Wielu komentatorów relacjonując przebieg ostatniego szczytu przypominało, że Ronald Reagan jeszcze w początkach swojej prezydentury nazywał Związek Radziecki „imperium zła”, aby przed jej zakończeniem odwiedzić Moskwę. Ten zbliżający się dzień powoli do osiemdziesiątki, choć wiek, wraz z milionami Amerykanów, nie bez oporów i wąchał pozbili się w kierunku antyradzieckich kompleksów i uprzedzeń. Za prezydentury Trumana zaczęła się era bomby atomowej, za prezydentury Reagana era jądrowego rozbrojenia. Chce on, jak powiedział, przekazać swemu następcy stabilne stosunki ze Związkiem Radzieckim. Myślę, że mimo wszystko Ronald Reagan przejdzie do historii jako stary ale znaczący prezydent, który przelał w sobie i wśród wielu Amerykanów rzecz niezwykle skomplikowaną — barierę psychologiczną. A uczynił to w swoich barzo późnych latach. I również dlatego budzi szczerą sympatię. Nikt, sądzę, nie ma wątpliwości, że na jej metamorfozę ogromny wpływ miały argumentacja, decyzje czy wreszcie urok osobisty Michaila Gorbaczowa i to wszystko, co się ostatnio dzieje w Związku Radzieckim. Ale to już temat na bibliotekę książek. Bez pierścionki i głośności, spotkania o tym charakterze na szczycie byłyby przecież niemożliwe.

W deklaracji zaproszonej prezydenta USA przez sekretarza generalnego KPRZ zgodzono się, że dzisiaj wszystkie sprawy należy rozwiązywać jedynie i wyłącznie przy pomocy dialogu. Widmo wojny, które jeszcze do niedawna wisiało nad światem, zostało oddalone. Po spotkaniu w Moskwie świat jakby znów o parę kroków odsunął się od przepaści, nad którą od lat zalegał. Perspektywa świata bez broni i wojen stała się bliższa, chociaż wciąż wiele problemów czeka na rozwiązanie. I to także uświadomił światu moskiewski szczyt.

JACEK WOCH

Z prasy radzieckiej

Toczy się dyskusja między polskimi i radzieckimi historykami nt. niezbadanych i niewyjaśnionych dotąd faktów i naszej wspólnej historii. Tym razem redakcja „Międzynarodowej Złoty” rozmawia na ten temat z radzieckimi historykami.

Międzynarodowa Złota. — Wyjątkowo zainteresowanie wywołuje u wszystkich radziecko-niemiecki układ o nieagresji (tzw. pakt Molotow-Ribbentrop). Z pewną dozą słuszności można stwierdzić, że mimo iż upłynęło prawie 50 lat, zainteresowanie tym układem chy-

liśmy się na to, by przyjechał 23 sierpnia. Trudno było nam odpowiedzieć na te pytania, ponieważ nie dysponujemy dokumentami i mogliśmy przedstawić tylko ogólny schemat. Ale to wszystko należy oczywiście rozpatrywać w ścisłym powiązaniu z angielsko-francus-

„Białe plamy” — radziecko-niemiecki pakt o nieagresji

ba nie ustępuje zainteresowaniu jakimkolwiek innym problemom z zakresu historii stosunków międzynarodowych. W różnych kręgach ocenia się go w najróżniejszy sposób. Jednakże nawet wśród wyraźnie antyradziecko-pastawionych ludzi, w tym również zachodnich historyków, dość zdecydowanie wyraża się opinię, że ze strony Związku Radzieckiego zawarcie paktu było krokiem podyktowanym warunkami: rozwoju sytuacji międzynarodowej w tym okresie. Jeśli chodzi o problemy, nad którymi dyskutujemy, przyciąga uwagę jeden w szczególności aspekt: zachodnia historiografia utrzymuje, że właśnie ten pakt dał Hitlerowi światło dla napaści na Polskę. Nawiasem mówiąc, jak ustalono na podstawie dokumentów, w tym również na procesie w rymberskim, feldmarszałek Keitel w o-parciu o wskazania Hitlera już w kwietniu 1939 r. wydał Wehrmachtowi dyrektywę w sprawie przygotowania napaści na Polskę. Chcielibyśmy usłyszeć jakiś komentarz na ten temat.

Aleksander Czubarjan (dyrektor Instytutu Historii Powszechnej AN ZSRR): — W światowej historiografii po dzień dzisiejszy nie słabnie zainteresowanie wydarzeniami 1939 roku. A to dlatego, że w rzeczywistości chodzi tu o ujawnienie przyczyn wybuchu II wojny światowej. W zachodniej literaturze na dół aktywnie przeprowadza się wywody o odpowiedzialności Związku Radzieckiego, w szczególności za skutki agresji hitlerowskich Niemiec na Polskę. Ogólnie biorąc, my i nasi polscy koledzy, stoimy na wspólnym stanowisku: pakt z Niemcami w Monachium Związek Radziecki nie miał innego wyjścia, nie miał innego wyboru, jak tylko zawrzeć z Niemcami układ o nieagresji. Odpowiedzialność za to, że nie udało się stworzyć w tym okresie frontu antyhitlerowskiego ponoszą Anglia i Francja. Jednakże w tym wspólnym stanowisku wyłoniły się pewne problemy, które można uważać za dyskusyjne i które wymagają by nad nimi dalej pracowali. Muszę powiedzieć otwarcie, że istnieje u nas pewna luka mająca zasadnicze znaczenie i wynikająca z braku znacznej warstwy dokumentów. W rozmowach z polskimi kolegami więcej posługiwaliśmy się dokumentami opublikowanymi na Zachodzie, niż dokumentami opublikowanymi u nas.

Jakie więc problemy wywołują dyskusję? Po pierwsze: polityka Polski w przededniu wydarzeń z września 1939 r. Dążenie naszych polskich kolegów, aby przedstawić tę politykę jako „bardziej wyważoną, jest zrozumiałe. Mówią oni np., że w odróżnieniu od innych krajów, Polska nie poszła na żadną ugodę z Niemcami. W tym sensie zgłosili nawet pewne pretensje pod adresem niektórych zagranicznych historyków, w tym także naszych, w związku z tym, że wyolbrzymiali niekiedy znaczenie porozumień wojskowych, kontaktów wojskowych Polski z Niemcami w latach 1938-1939. Po wtóre, polscy historycy czy kładą nacisk na wywołanie, sprawiedliwy charakter wojny Polski przeciwko Niemcom. Absolutnie nie wybiłajac antyradzieckiej polityki Becka, wydaje mi się, że należy mimo wszystko realnie ocenić sytuację, w jakiej znalazła się Polska. Zrobiliśmy to. M.in. przewodniczący strony radzieckiej w komisji, Georgij Smirnow jasno i wyraźnie powiedział, że wojnę Polski przeciwko Niemcom uważamy za wywołaną przez i sprawiedliwą od samego początku.

Na pogłębioną analizę zasługują wydarzenia dramatycznych tygodni sierpnia i września 1939 r. Polscy koledzy badają już nawet nie każdy dzień, ale każdą godzinę tych tygodni. Wpłynęło także np. pytanie, dlaczego 19 sierpnia rano Molotow w rozmowie z niemieckim ambasadorem Schulenburgiem odrzucił propozycję Niemiec wysłania do Moskwy Ribbentropa celem podpisania układu radziecko-niemieckiego, a tego samego dnia już o godz. 16 wezwał do siebie Schulenburga i w imieniu Stalina oznajmił mu, że zgadzamy się na przyjazd Ribbentropa do Moskwy? Co prawda wymieniano datę 26-27 sierpnia, ale już za dwa dni 21 sierpnia, zgodzi-

ko-radzieckimi negocjacjami wojskowy mi w Moskwie. A propos tych rozmów, należałoby podejść do nich z większą uwagą. Można byłoby szerzej postawić problem zmarnowanych możliwości. I trzeba powiedzieć, że kiedy wyrażaliśmy taki punkt widzenia, polscy koledzy odnieśli się do niego nie tylko ze zrozumieniem ale również z zainteresowaniem.

M. Z.: — Jakich najbardziej istotnych dokumentów brak, aby można było wyjaśnić, jaki był prawdziwy obraz sytuacji?

A. Czubarjan: — Moim zdaniem, po pierwsze brak dokumentów ukazujących tok dyskusji w radzieckim kierownictwie nad problemami dotyczącymi rozmów z Niemcami w sierpniu 1939 r. Zresztą, nie tylko w sierpniu, ale począwszy już od maja. Po drugie, mamy tylko końcowe protokoły rozmów misji wojskowych Anglii, Francji i ZSRR. Ale, jak sądzę, byłoby niezwykle, gdybyśmy dysponowali czysto dyplomatycznymi dokumentami. Przydałoby się np. więcej doniesień naszych przedstawicieli dyplomatycznych z Paryża, Londynu, Warszawy, Berlina, które pozwoliłyby w całej pełni odtworzyć obraz wydarzeń. Wreszcie, są dokumenty dotyczące dyskusji nad tymi wydarzeniami w samej Polsce. Poprosilibyśmy o nie naszych polskich towarzyszy.

O. Rieszewski: — Popierając wszystko, co tu powiedziano, pragnębyśmy podkreślić pilną potrzebę znanajomości historyków z roboczymi dokumentami radzieckiej delegacji na rokowania wojskowych trzech krajów, jakie prowadzone były w Moskwie do 22 VIII 1939 r. Nie tylko ich nie mamy, ale nawet nigdy nie widzieliśmy, chociaż wiele mówi się, że dokumenty takie istnieją. Wiele doskonale, że są u nas pojedynczy historycy, którzy uważają, że zawarcie paktu z Niemcami było błędem politycznym. Ale co jest ciekawe. Historycy ci, a zwłaszcza Ernst Gerl, który powtórzył swą tezę na łamach pisma „Družba Narodów”, nie pokazują alternatywy. Moim zdaniem ZSRR nie miał innej możliwości.

Tak, pozycja Francji różniła się od stanowiska W. Brytanii. Daladier polecił Doumankowi podpisać konwencję wojskową. Jednak klucz do rozwiązania problemu był w rękach W. Brytanii. Wynika z tego, że konieczne jest maksymalnie szczegółowe zbadanie stanowiska W. Brytanii. Wiemy, że ani Londyn, ani Warszawa nie udzieliły odpowiedzi na pytanie o kapitałowy znaczeniu — pytanie dotyczące zgody na wypuszczenie radzieckich wojsk do Polski. Nie wiemy jednak, jakie stanowisko zajmował gabinet angielski w okresie od 17 do 21 sierpnia. Nie ma ani jednego dokumentu, który ujawniałby rzeczywiste stanowisko W. Brytanii w tych krytycznych dniach.

Rozmawiałem niedawno na ten temat z doskonale zorientowanym angielskim historykiem, Donaldem Wattem. Przygotowuje on teraz książkę „I tak przysłała wojna”, która powinna ukazać się wkrótce. Zapytałem go: „Jaka była pozycja rządu angielskiego w tamtych dniach?”. Odpowiedział w przybliżeniu co następuje: Po pierwsze, w tamtych dniach rząd angielski utracił kontrolę nad biegiem wydarzeń. Po wtóre, wyrażając z odcie na podpisanie konwencji, Francja oszukiwała Związek Radziecki, gdyż wiedziała doskonale, że Polska nie zgodzi się na przejście wojsk radzieckich. I, po trzecie, dostęp do wielu bardzo ważnych angielskich dokumentów jest zamknięty, a więc pełnej odpowiedzi na to pytanie udzielić nie będzie.

A. Czubarjan: — Chciałbym dodać, że Watt, który zbadał archiwa Londynu, Paryża, Bonn, Warszawy i Bukaresztu i przestudiował dokumenty dotyczące wydarzeń 1939 r., zwłaszcza rokowań między misjami wojskowymi ZSRR, Anglii i Francji był zdumiony: dlaczego nasze dokumenty są niedostępne, skoro zbądane przezeń materiały ukazują wytrwałe wysiłki ZSRR, zmierzające do osiągnięcia wzajemnego zrozumienia i zawarcia porozumienia?

A. Naroczni: — Ja także uważam, że wykorzystanie tych dokumentów ma duże znaczenie i leży w interesie prawdy, prawdziwego naświetlenia radzieckiej polityki. W związku z tym chcę poruszyć pewien problem metodologiczny. Nie wolno wyrwać faktów z ich kontekstu historycznego. Jeśli wyodrębni się, powiedzmy, układ z 23.VIII.1939 r. z całej poprzedzającej go historii rokowań, to można wysuwać przeciwko ZSRR wszelkie możliwe oskarżenia. Tak zrobili na początku zimnej wojny autorzy zbioru dokumentów o stosunkach ra-

wiedziano przecież doskonale, że w razie nie podpisania konwencji wojskowej i układu angielsko-francusko-radzieckiego w ogóle, ZSRR niechybnie zawarłby układ o nieagresji z Niemcami. Wiedzano tam również, że w takim wypadku w chwili rozpoczęcia wojny Związek Radziecki będzie neutralny: mimo to Anglię, jak to się mówi, działali wbrew swemu przeznaczeniu i zburzyli te podstawy systemu bezpieczeństwa zbiorowego, które z takim trudem, takim wysiłkiem i tak konsekwentnie tworzyliśmy poczynając od 1933 roku. Zasadnicze znaczenie ma to, że po zerwaniu angielsko-francusko-radzieckich rokowań w Moskwie, zapobieżenie II wojnie światowej i napaści faszystowskich Niemiec na Polskę było już niemożliwe.

Wróćmy jednak do układu z 23 sierpnia. Absolutnie słusznie ocenił go M. Gorbaczow w przemówieniu z 2 listopada ub. roku przedstawiając sytuację, w jakiej układ ten został zawarty oraz przyczyny, które skłoniły ZSRR do takiej decyzji. Dla państwa radzieckiego był to problem życia lub śmierci. Bezspornie, była to najtrudniejsza z czasów pokoju brzeskiego decyzja rządu radzieckiego w sprawach polityki zagranicznej. Podpisując układ osiągnęliśmy główny cel — nie dopuściliśmy do utworzenia jednolitego frontu państw imperialistycznych przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Front ten ukształtował się w Monachium i zagarnięciem oraz podziałem Czechosłowacji, w którym, nawiasem mówiąc, wzięła udział również Polska, potwierdził swoje istnienie, swoją agresywną i antyradziecką orientację. Zyskałszy 22 miesiące na umocnienie obrony kraju.

G. Smirnow: — W jednym ze swych artykułów prof. Kowalski rozdmuchuje następujący problem: kto kogo oszukał — Hitler — Stalina, czy Stalina Hitlera? Wychodzi na to, że to oczywiście Stalin oszukał Hitlera, ale sam też niczego nie zyskał, ponieważ wojska radzieckie wycofały się w 1941 roku do Moskwy. Myślę, że jest to kontrowersyjny pogląd. Cofanie się Armii Czerwonej to już inna sprawa, bo to ono spowodowane niedoścignieniem gotowości hitlerowców do napaści. Jednakże po tych prawie 2 latach ZSRR mógł rzucić na pola bitewne udoskonalony przez konstruktorów i wdrożony do produkcji sprzęt.

O. Rieszewski: — Główny cel, jakim było zapewnienie bezpieczeństwa państwa radzieckiego, na tym etapie został osiągnięty. Oprócz tego zdołaliśmy wziąć pod swoją obronę maksimum kraju i terytoriów, których narodom groziła okupacja faszystowska oraz zagłada fizyczna. Inna sprawa, że później wydarzenia rozwinęły się bynajmniej nie tak, jak przypuszczaliśmy. Jednak nasze stanowisko było uczciwe, szczerze i internacjonalistyczne.

Niezupełnie zgadzam się z prof. Rieszewskim, że stanowisko Anglii jest dla nas całkowicie niejasne. Jeżeli ograniczyć się do ostatnich tygodni czy raczej ostatnich dni rokowań, to tutaj rzeczywiście to i owo nie jest jasne. Mimo wszystko jednak, nawet w już znanych dokumentach, sporo jest wypowiedzi Chamberlaina i innych osobistości mówiących o tym, iż rząd angielski pragnął, aby huragan wojny ominął Wielką Brytanię. W sytuacji, kiedy ogłoszono deklarację o nieagresji między W. Brytanią i Niemcami oraz między Francją i Niemcami, oznaczało to próbę skierowania agresji hitlerowskiej na Wschód. Wypowiedzi tego rodzaju jest wystarczająco dużo, aby można było złożyć z nich całą broszurę i dlatego prawdopodobnie Anglię nie chcą dalej ujawniać tej orientacji i ukrywać przed światem część dokumentów. Jednakże o stanowisku Anglii w kwestiach zasadniczych można sądzić chociażby na podstawie rozmów, w tym rokowań z Niemcami, na temat podziału stref wpływów. Prowadzone były one tajnie i równolegle do rokowań z ZSRR.

O. Rieszewski: — Zgoda, ale sprawa jest nadal nie do końca jasna. W Anglii

CZY RUBEL BĘDZIE WYMENIALNY?

Pełne urzeczywistnienie wymienalności rubla możliwe jest za około 10-12 lat. Stwierdził to w wywiadzie dla „Rudego Prawa” dyrektor Instytutu Ekonomiki Akademii Nauk ZSRR, akademik Leonid Abalkin. Podkreślił on, że jeszcze przed wprowadzeniem wymienialnej waluty radzieckiej konieczne jest załatwienie dwu spraw. Po pierwsze — należy niezbędnie poprawić jakość i poziom techniczny wyrobów rodzimej produkcji, które powinny stać się konkurencyjne na rynkach zagranicznych. Po drugie — warunkiem wstępnym musi być wprowadzenie wymienialności waluty w ramach RWPG, bowiem trudno sobie wyobrazić sytuację, w której rubel byłby wymienialny, a waluty innych krajów Rady — nie. Stąd trzeba czasu na zbliżenie do siebie mechanizmów gospodarczych krajów RWPG, a struktury cen w tych krajach do tej, jaka cechuje rynek światowy.

Poruszając sprawę subsydiów i dotacji w gospodarce ZSRR, L. Abalkin powiedział, że w olbrzymiej skali Kraju Rad również one przybrały tak gigantyczne rozmiary, że nie sposób ich usprawiedliwić ani z ekonomicznego, ani społecznego punktu widzenia. Zatrącono obiektywną miarę, którą bezwzględnie należy przywrócić. Dotacje pełnią zarazem funkcję stabilizatora socjalnego, dla tego też gospodarka radziecka również w przyszłości nie może się bez nich obyć. Muszą wskazać zachowywać rozsądne rozmiary.

mgr

Zbigniewowi Pietkiewiczowi

dyrektorowi

Zielonogórskiego Wydawnictwa Prasowego

wyraża szczerą współczucia z powodu śmierci

MATKI

składa zespół redakcji „Nadodrze”

Zwycięstwo za trzy punkty

Edward J. Mincer

Kilka lat temu, jeszcze przed otwarciem zakładu, przysłała mi zaproszenie kuryndka ze Stanów. Nie dostałem jednak paszportu. Dziś chwala temu, kto wydał oświadczenie. Gdybym wyjechał, może losy potoczyłyby się pewnie inaczej.

Do Zakładu Pneumatycznej Aparatury Sterującej „AB” inż. Andrzej Bieniaśzewski nadziedziczył telex z Centralnego Ośrodka Badawczo-Rozwojowego Przemysłu Elementów Wyposażenia Budownictwa. „Prosimy o pilną realizację naszego zamówienia, ponieważ silowniki przeznaczone są do kłap opór na budowie priorytetowej: stoczni marynarki wojennej w Gdyni, elektrowni atomowej w Żarnowcu oraz Centrum Zdrowia Matki Polki w Łodzi”.

Nie do pomysłowania jest w naszych czasach — mówi inż. Bieniaśzewski — nowoczesny zakład „prze-mysłowy bez sprzężonego powietrza jako czynnika energetycznego. Zastępuje ono pracę ludzkich mięśni, steruje różnego rodzaju procesami technologicznymi. Jego podstawowymi zaletami są: praktycznie nieograniczone źródło pozyskiwania, szybkość i bezpieczeństwo w działaniu, łatwość magazynowania, prostota montażu i obsługi niezbędnych elementów pneumatycznych. Przy zastosowaniu odpowiednich układów można zmechanizować i automatyzować prawie wszystko — to nie tak znowu wielkim kosztem.

Opinia to jak najbardziej autorytarna. Inż. A. Bieniaśzewski (urodzony 1933) jest przecież jednym z trzech ekspertów, powołanych przez Urząd Postępu Technicznego i Wdrożeń do oceny stanu prac w zakresie pneumatyki, objętych Centralnym Programem Badawczo-Rozwojowym (obok prof. Osiniedkiego z Politechniki Warszawskiej oraz doc. Bartkiewicza z Przemysłowego Instytutu Maszyn Budowlanych w Poznaniu). Jest również jednym z czterech w naszym kraju producentów elementów pneumatycznych. Ostatnio powołano go do komisji d/s jednostek innowacyjno-wdrożeniowych przy Centralnym Związku Rzemiosła.

NADAJESZ SIĘ TYLKO DO ZAWODÓWKI

— stwierdzili nauczyciele, kiedy ukończył szkołę podstawową. Wiek najpierw były trzy lata zawodówki, potem — niejako z rozpedu — trzy lata technikum mechanicznego w systemie zaciętnym. Jednocześnie pracował jako frezer — tokarz co przysłało mu i dyktando. Kiedy pracownicy twierdzą, że coś jest niemożliwe do wykonania albo zbyt wysublimowane, porządkowe, sam stał przy obrabianiu i udowadniał, że jest inaczej. Potrafił naprawić każdą maszynę. Śmieła się nawet w zakładzie, że automatyczna przecinarka, dosyć kapryśna w obsłudze i często się psująca — w jego obecności nigdy nie zawodziła. Wychowa mistrza.

Po odbyciu zasadniczej służby wojskowej Andrzej Bieniaśzewski zdał z powodzeniem na Wydział Mechaniczny Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Zielonej Górze. Studiując zaciętnie, jednocześnie pracując. Sprawdza się jako zaopatrzeniowiec, behapowiec, konstruktor, technolog, organizator produkcji. To wszystko procentować będzie później w działalności zawodowej.

W spółdzielni „Rytosztuka” przechodzi prawdziwą „szkołę życia”, przygotowując niezbędne oprzyrządowanie zakładu. Dosłownie szpera po śmietnikach, szukając drutu i stalowych elementów. Ma do dyspozycji jedynie najprostsze narzędzia.

W UNITRZE, jako starszy mistrz, odpowiada za uruchomienie od podstaw narzędziowni, później „ładuje” w zaopatrzeniu. Jest konstruktorem technologicznym w Zakładzie Remontowo-Montażowym Wojewódzkiego Związku Spółdzielni Mleczarskich. Osiąga do brzo wyniki jako racjonalizator, chociaż nie wszystkie jego pomysły zostają zrealizowane. Po prostu — takie jest życie. Co opłaca się gospodarce narodowej, nie opłaca się konkretnemu zakładowi. Oszczędności materiałowe zmniejszały obroty firmy, która z nich przede wszystkim jest rozliczana i które rzutują na wysokość nagród i premii. Aby wykonać plan wartościowo, trzeba w tej sytuacji intensywniej pracować. Z punktu widzenia interesów zakładu najkorzystniejszy byłby projekt zlozenia wyrobów. Rzecz jasna — bezsensowny technicznie, ale gwarantujący wysokie obroty.

Tutaj właśnie rozpoczyna się życiowa przygoda inż. Bieniaśzewskiego z pneumatyką. Zakład borykał się bowiem z zaporami rozdzielającymi krajową produkcję, których jakość pozostawiała wiele do życzenia.

DZISIAJ

Zakład „AB” wyprodukował w tym roku około 120 tysięcy różnego rodzaju zaworów, silowników i elementów złączonych, których centralnym dystrybutorem jest Biuro Zrętu Elementów Maszynowych „ELMA” w Kielcach. Pewno dlatego sama firma nie jest dobrze znana we własnym regionie. Na terenach targach „Kooperacja” w Poznaniu przedstawiciel „Do zametu” stwierdził ze zdziwieniem: „To wy robicie zawory pod nosem, w Sulechowie, a my sprowadzamy podobne z Austrii”. Odbiorcy rozsiani są po całym kraju. Jest wśród nich między innymi fabryka autobusów w Jelczu, stosująca zawory pneumatyczne do awaryjnego otwierania drzwi i czo-

zedzająca, dzięki wyeliminowaniu importu, około 1,2 mln marek zachodnio-niemieckich rocznie. Jest podobna fabryka w Sanoku. Wytwórnia Sprzętu Komunikacyjnego w Gorzycach, Huta „Bałdon”, Słocznia Gdańska, zakłady Cegielskiego... Ostatnio proponuje umowę kooperacyjną gorzowski „Gomad”.

W zakładzie pracuje na dwie zmiany 29 osób. Wśród nich: pełnomocnik d/s technicznych (były szef produkcji) i główny konstruktor UNITRY inż. Eugeniusz Michałowicz, zaopatrzeniowiec, księgowy, specjalista d/s prawnych, specjalista d/s marketingu (czyli „w cywilu” — żona Danuta). Wymagania w stosunku do nich są wysokie — ale i pensje spore. Zdarza się na liście wypłat kwoty sięgające 120 tysięcy złotych. Ponad jedną trzecią zatrudnionych płaci podatek wyrównawczy. W pełni sprawdza się tutaj dewiza: „Jaka praca, taka płaca”. Zakończyła własną kasę zapomogowo-pożyczkową. Zgłosił swój udział w organizowanej w Sulechowie Lidze Szóstek w piłce nożnej. I mają już na koncie pierwsze sukcesy.

W ubiegłym roku obroty zakładu wyniosły ponad 98 mln złotych. Z tego 26 mln poszło na podatki. Odliczyć jeszcze trzeba poniesione koszty (dosyć wysokie w tej branży) — ale i tak kilka milionów właścicielowi zostało. Nie jedzą już starym, zdezolowanym wartburgiem lecz dostojnym czarnym audi 100-diesel, czego przede wszystkim zazdrości mu... własna żona („dosiadająca” jedynie skody). Ale dąży do Lubry jest już wspólna. Oboje też myśla o budowie lub kupnie domu. 48 m² na Morelowej w Zielonej Górze to stanowczo za mało.

Nie wstydił się osiągniętego dobrobytu. W końcu jest on tylko i wyłącznie efektem jego inwencji i ciężkiej pracy. Zaczynał bowiem praktycznie od zera.

STARTOWAŁ W PIWNI CY SZWAGRA

dokładnie cztery lata temu — w kwietniu 1984 roku. Miał zaoszczędzone 50 tysięcy, 100 tysięcy pożyczyl od rodziny i znajomych. Maszyny, częściowo także pożyczone, zainstalował w piwnicy domu jednorodzinnego w Sulechowie. Przez pierwsze pół roku praktycznie utrzymywały ten zakład żona i swagatka. Zarobione pieniądze trzeba było bowiem inwestować, przy tym — zwracać załagnione pożyczki.

Zaczynał od typowych usług ślusarskich często z powierzonego materiału. Między innymi wiercił śita, robił kraty i ogrodzenia. Ścielił — robił wspólnie ze szwagrem „Odbicie” — nastąpiło przy produkcji specjalnych podkładów dla nowego mostu na Odrze w Cigacicach. Zadał się na ten temat z kierownikiem celowni dróg publicznych na kursie języka angielskiego, na który razem uczęszczał. Był to nie lada problem techniczny, ponieważ podkładki musiały odpowiadać odpowiednim atestom wytrzymałościowym. Nie obyło się bez wspaniałostek z kato-

Ciąg dalszy na str. 4

PO MAJOWYM ŚWIĘCIE KULTURY

Nie zapomnieliśmy o tradycyjnych majowych Dniach Kultury, Oświaty, Książki i Prasy. Były więc spotkania z pisarzami i autorami książek o różnej tematyce, były kiermasze i liczne imprezy kulturalne. Czy zatem można uznać minionie święto kultury za udane?

W Zielonogórskim Dni zainaugurowano w Brodach, gdzie miejscowe Towarzystwo Kultury z jego prezesem Stanisławem Turowskim zorganizowało sesję popularno-naukową, poświęconą przeszłości i teraźniejszości tego skrawka Ziemi Lubuskiej. W tym samym czasie w Lubsku, na zaproszenie Barbary Bołkowskiej, dyrektora Biblioteki Publicznej, w szkołach i placówkach kulturalnych miasta oraz pobliskiego Jasienia, odbyły się spotkania dziennikarzy „Nad Odrą” — Janusza Koniusza, Zenona Łukaszczyka, Wiesława Nodzyńskiego i Ryszarda Rowińskiego. Zarówno sesja w Brodach, której pionem zostanie utrwalony w przygotowywanej publikacji, jak i lubuskie spotkania zostały zorganizowane sprawnie, w najlepszym stylu.

W upalną natomiast niedzielę „Dom Książki” urządził na zielonogórskim deptaku kiermasz książek. Było to bez żadnej przesady żałosne widowisko. Przy ustawionych przed księgarnią stołach zasiadli pisarze: Janusz Koniusz, Alfred Siatecki i Mieczysław Warszawski oraz autorzy interesujących książek — dr. Włodzimierz Kwasniewicz, Władysław Korcz i Jerzy P. Majchrzak. Nie zadano nawet o straganiarskie parasole, aby osłonić ich przed słonecznym żarem. Również mieszkańcy miasta, zmęczeni upałem, nie interesowali się zbitymi autografami lubuskich twórców. Wcześniej nie zadano o odpowiednią reklamę, nie wyciszczenie nie uczyniono, aby zachęcić czytelników do udziału w kiermaszu. Informacja w gazecie nie wystarczyła. „Dom Książki” nie wykazał żadnej inicjatywy, aby swój towar zrekłamaować i dobrze sprzedać.

Podobne wrażenie odniosłem nieco później na kiermaszu w Gorzowie. Był to kompromitujący pokaz nieudolności

i bylejakości. W parku Wiosny Ludów ustawiono kilka stoików, przy których swoje książki mieli podpisywać nie tylko zielonogórscy i gorzowscy literaci, lecz również zaproszeni z innych regionów ludzie pióra: Tadeusz Jasiński z Lublina, Marian Kowalski ze Szczecina, Ryszard Danecki, Gerard Górnicki i Nikos Chadzinikola z Poznania. Tymczasem okazało się, że... nie mają na czym składać autografów, bowiem „Dom Książki” nie sprowadził ich utworów na kiermasz. Nie, nie dlatego, że zostali już sprzedane. Kilka dni wcześniej w sulechowskiej księgarni-widziarni tomy prozy Kowalskiego, Jasińskiego, Siateckiego i innych autorów, zalegające łade, zabrakło organizatorów, dobrej woli? Do tego, z pobliskiego budynku, jakas pani przez megafon prezentowała biografie i dorobek przybyłych pisarzy, przeznaczone na zwiedzających i tytuły książek, chrypiąc przy tym straszliwie, jak by zapowiadając odjazd pociągu na stacji Kozia Wólka. Garstka czytelników ustawiła się przed jednym tylko stoikiem, gdzie można było nabawić Kopalińskiego „Słownik mitów i tradycji kultury”. Przed czasem więc zlikwidowano stanowiska pisarzy, których książki leżały zapewne do dziś w pobliskich księgarniach, ale na kiermaszu ich nie było...

Gorzowski kiermasz, potwierdzający indolencję „Domu Książki”, był jednym z elementów szeroko zakrojonych i ambitnie pomyslnych Dni Literatury, zorganizowanych z inicjatywą zielonogórskiego oddziału Związku Literatów Polskich, przez Wojewódzka Bibliotekę Publiczną w Gorzowie Wlkp. Jeśli o Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej w Zielonej Górze powiada się powszechnie, że jest to mocno obwarowana twierdza, z której nie wyszły żadne sygnały dotyczące majowych Dni Kultury, to dyrektor Ryszard Wilmiński, jego zastępczyni Lucyna Kotecka oraz cały sztab bibliotekarzy zademonstrowali sprawną organizację i wielkie umiejętności popularizacji czytelnictwa nie tylko w Gorzowie, ale i w pobliskich miejscowościach.

Program gorzowskich Dni Literatury był obszerny. Podczas ich inauguracji wojewoda Stanisław Nowak wręczył Tadeuszowi Jasińskiemu i Tadeuszowi Kajanowi odznaki honorowe „Za zasługi dla województwa gorzowskiego”, natomiast Stanisław Plewiński odznaczył przyznanym przez Radę Państwa medalem „Rodła”. Medale „Rodła” pośmiertnie przyznano Irenie Dowgielewicz i Florianowi Nowickiemu. Edward Korban, sekretarz KW PZPR, wyraził życzliwość i wsparcie wojewódzkich władz dla tego typu imprez o ważnym znaczeniu społecznym. Szczególne miejsce w programie znalazła twórczość zmarłej niedawno cygańskiej poetki Papuszy, przez wiele lat związanej właśnie z Gorzowem. W oddziale Wojewódzkiej Biblioteki „Inter Libros” przy ul. Kosmyńskich Gdynskich otwarto wystawę poświęconą właśnie Papuszy. Ze wzruszeniem obejrzałem piękne fotografie, pokazujące poetkę w różnych ujęciach, wykonane przez Czesława Luniewicza. Zobaczyliśmy oryginalny list, przekazany Bibliotece przez ZLP w Zielonej Górze, dedykację na tomiku, wycinki publikacji jej poświęconych.

Następnie w Wojewódzkim Domu Kultury odbyła się wieczorka poświęcona Papuszy. Odczytano szkice przesłane przez Jerzego Ficowskiego, o jej biografii i twórczości mówił Tadeusz Kajan, Czesław Sobkowiak, Zdzisław Morawski i Zofia Jasińska pięknie ją wspominając, a także — Edward Debiecki, współzałożyciel zespołu „Terno”, które go ciotka była właśnie Papuszą. Program urozmaico monodramem Elżbiety Kuczyńskiej, oscarowanym na konkursie utworów oetki, zaś jej głos usłyszeć było w odtworzonej audycji radiowej Ireny Linkiewicz, nagranej przed laty. Przybyli do Gorzowa pisarze mieli interesujące spotkania autorskie w miejscowych szkołach i bibliotekach, również zwieliwili byli podejmowani w pobliskich miasteczkach.

W pierwszym roku gorzowska impreza literacka ma być poświęcona Irenie Dowgielewicz. Oby była ona udana, jak życzoroczna. I pozbawiona żyrtyłów, których sprawcą był, nie tylko w moim przekonaniu, „Dom Książki”.

ZENON ŁUKASZEWICZ

PS. Inne informacje o majowych wydarzeniach kulturalnych publikujemy na str. 9 w kronice „Z Nadodrą”.

O POLSCE MYŚLAĆ

W trakcie kampanii wyborczej do rad narodowych zwróciliśmy się do kilku kandydatów z prośbą o własne refleksje, związane z tym ważnym wydarzeniem. Oto fragmenty niektórych wypowiedzi.

HALINA FURMAŃSKA — zastępczyni dyrektora Szkoły Podstawowej nr 1 w Kostrzynie

Wieloletnia praktyka pedagogiczna pozwala mi na pewną osobistą refleksję, dotyczącą wychowawczej działalności szkoły, w której od wielu lat są realizowane dwie jej podstawowe funkcje: poznawcza i ideowo-moralna. Oboje są jednakowo ważne, bowiem obejmują wszechstronny rozwój osobowości ucznia, jego zainteresowań, zamiłowań, ambicji twórczych. Myślę, że szkoły nie najgorzej spełniają w tym zakresie swoje zadania, chociaż na temat wychowania w szkole nie zawsze pisano pozytywnie.

Analizując zadania, które ma do spełnienia nauczyciel, nie trudno jest nakreślić model przyszłego obywatela naszego kraju. Marzy mi się pokolenie, które u progu XXI wieku potrafi utrzymać i wzbogacić dorobek poprzednich pokoleń, zagwarantować rozwój własnego kraju. A więc młodzież, którą obecnie przygotowujemy do pełnienia dorosłych ról obywatelskich, powinna stać się autentycznymi współgospodarzami wszystkich zakładów pracy, zadbać o rozwój ekonomiczny, o wyższą jakość pracy i efektywność gospodarowania. W ten sposób pomnożone dobra materialne powinny zaspokoić potrzeby wszystkich Polaków, a szczególnie ludzi młodych, rozpoczynających dopiero swój start życiowy. Każdy młody obywatel powinien mieć świadomość, że jest potrzebny w swoim kraju, że jego wyjazd za granicę jest niecelowy, że swymi umiejętnościami, energią i pomysłami służy Ojczyźnie.

Stąd do wysokiej rangi podnosi się funkcję szkoły i rolę nauczyciela. Obecnie trudne warunki naszej pracy rodzą wiele skomplikowanych problemów wychowawczych. Wieloletnie oszczędzanie, jakie czyniono na oświacie, nie przyczyniło się do poprawy jakości pracy pedagogicznej, o czym tak często z troską dyskutujemy na zebraniach. Tym bardziej, że skutki kryzysu, spowodowanego przez ludzi dorosłych, odczuwają dotkliwie dzieci i młodzież. Jeśli w zasadzie dziecko w przedszkolu przebywa w dobrych warunkach lokalowych, ma miejsce na zabawy i wypocinek, to przychodzi do szkoły, w której jest

kilka klas pierwszych, są różne godziny zajęć, często dość późne, a w klasach za duża liczba uczniów i brak wielu środków dydaktycznych — wówczas rodzą się trudności. Czyż można indywidualizować proces nauczania i wychowania, gdy w klasie jest ponad trzydziestu uczniów?

Brak jednolitego frontu wychowawczego szkoły, domu i placówek pozaszkolnych powoduje także kłopoty natury wychowawczej. Jeśli bowiem nauczyciel wypaja w umyśle wychowanków pewne określone normy, oceny wartości, które dziecko następnie uznaje za swoje, to przecież chciałoby, aby z taką samą oceną tych norm spotkało się ono wszędzie: w domu, w kościele, w gronie rówieśników. Natomiast jeśli w rodzinie wśród hierarchii wartości najważniejszą odgrywa pieniądź i wszystko koncentruje się wokół jego zdobycia, przy okazji podkreślając nieopłacalność wykształcenia — to w takim wypadku nie może być mowy o dobrej motywacji do nauki.

W kostrzyńskim szkolnictwie można pochwalić się szeroką działalnością na rzecz wychowania dzieci i młodzieży. Społeczeństwo nie jest obojętne, pomagając w budowie szkoły podstawowej i nowoczesnego przedszkola. Pomogło w remoncie najstarszej szkoły w mieście, modernizacji pomieszczeń socjalnych kilku szkół. Wymierne efekty przyniosła budowa nowego Na Narodów Czyn Pomocy Szkole. Mamy więc sojuszników w naszych staraniach o poprawę warunków nauczania i wychowywania. Służby temu również niedawna Rejonowa Sesja Postępu Pedagogicznego, podczas której mówiliśmy o roli wychowawcy klasy w procesie dydaktyczno-wychowawczym.

Tworzy nauczyciel, otwarty na uczniowskie troski i kłopoty, na postęp w dziedzinie dydaktycznej i wychowawczej, nie przeciągający dodatkową — w celu zarobkowym — liczną godzin, może osiągnąć sukcesy. Oczywiście, istotne są też realia ekonomiczne. Czekamy więc na reformę w oświacie, choć nie siedzimy z założonymi bezradnie rękoma.

WŁODZIMIERZ KWASNIEWICZ — historyk brzoźniawca, dyrektor Lubuskiego Muzeum Wojskowego w Drzonowie koło Zielonej Góry

Myśląc o Polsce, myślę przede wszystkim o kraju, którego rzeczywistość tak bardzo zdeteminowana jest przeszłością. Jakże często nie zdajemy sobie z tego sprawy, konstatując naszą współczesność jako wartość samą w sobie, jako constans, a nie skutek określonych dziełowych uwarunkowań i historycznych odległych przyczyn.

Przeszłość odciśnięła na nas swoje piętno, czy tego chcemy, czy nie. Cała mądrość w tym, aby z niej wyciągnąć właściwe wnioski. Nie chodzi mi bynajmniej o ciągłe odwracanie się ku przeszłości, bo przecież z dnia współczesnego budujemy nasze drogi do przyszłości. Nie można więc z narodowej przeszłości stwarzać wartości nadrzędnej, warunkującej teraźniejszość i przyszłość — jednakże ma być ona, musi być istotnym elementem realizowanej przez nas współczesności i wryczanej z niej przyszłości.

Myślę także o swoim kraju jako kraju wielu zrealizowanych i zmarnowanych dziełowych szans. Myślę o kraju, w którym jakże często szczerne hasła i zamierzenia w praktyce uzyskiwały (i uzyskują) postać niewydarzonego pokucia. Gdzie tkwi tego przyczyna? Czy tylko w splocie obiektywnych trudności i oddziaływaniach wrogich nam sił? A może to przede wszystkim w nas jest to coś, co nie pozwala nam się przełom (i tu kłania się nasza przeszłość...) aby z podniesionym ciołem uderzyć się w pierś i wziąć się do żmudnego codziennego tworzenia, którego efekty nie przyjdą nam z dnia na dzień, lecz do-

piero po długim czasie konsekwentnych działań je osiągniemy.

Myślę też dzisiaj o kraju mądrych i wykształconych ludzi, których to mądrość, wiedza i kompetencje jakże często są nikomu nie potrzebne, że spożyłowane i odzyskane jałmużną. Mam na uwadze ludzi, którzy tworzą materialną bazę kraju a wraz z inteligencją tworzą jeden społeczny mechanizm. Mechanizm, którego właściwe i efektywne działanie zasadzać się może jedynie na pełnej konsekwentnej komplementarności. Nadbudowa uzależniona jest od bazy, jednakże i baza uzależniona jest tak samo od nadbudowy...

Myśląc o Polsce, myślę także (a jestem umiarkowanym optymistą) o władzy, która zdając sobie sprawę z powyższego układu, będzie nie tylko teoretycznie o nim rozprawiała, ale zacznie wreszcie stwarzać rzeczywiste i praktyczne mechanizmy do zaistnienia właściwych relacji pomiędzy ową bazą a nadbudową w naszym kraju. Bo jeśli tak się nie zacznie wreszcie dziać (a wte dy moje stanowisko będzie musiało się przeczulić w stronę coraz mniej umiarkowanego optymizmu) — to z mechanizmem, o którym mówię, z wielkim traskiem wylecą trybiki i kółka, i nie wiem, z jaką twarzą oddamy Polskę młodemu pokoleniu.

Przed nami szansa następna. Obyśmy tylko za parę lat nie mówili nostalgicznie o niej, jako o tej, która była wielką i słuszną, lecz z przyczyn od nas niezależnych nie mogliśmy jej przeob-

Ciąg dalszy na str. 4

Silnik agregatu zaskoczył dopiero za trzecim pociągnięciem paska. Zakrzęcił się zbyt duża dawka benzyny, spłynał błękitnymi spalninami i wreszcie zadął równym, miarowym rytmem.

— To prawdziwy smok! Pali prawie litr dwadzieścia na godzinę! — krzyknął w moim kierunku Józek.

Jeszcze tylko kolki do umocowania ramy silnika, kilka silnych odepchnięć wiosłami i już jesteśmy na jeziorze. Ja siadam z tyłu łódki i wiosłuję, a moi gospodarze wskazują, w którą stronę chcą płynąć. Dwaj rybacy zanurzają w wodzie elektrody, zakończone małymi

Głuska — mistrz brygady, parający się tym zawodem już przeszło 20 lat i Józef Karlicki z Łaska — dyplomowany mistrz rybacy z ponad 10-letnim stażem. Pracuje z nimi jeszcze Andrzej, absolwent Zasadniczej Szkoły Rybackiej, trudniący się rybactwem od 17 lat. Wszyscy trzej tworzą brygadę rybacką Zakładu Rybackiego w Dobiegniewie.

Dlaczego robią akurat w tym fachu? Bo nie widzą się w żadnym innym...

— Rybakiem był mój ojciec, a ja przyzwyczaiłem się do tej pracy od najmłodszych lat — mówi Franek. — Jak już człowiek do czegoś przywyknie i coś polubi, to nie ma mowy o tym, aby to rzucić.

rzowskiego, w gminach Bierzwnik, Drawno i Dobiegniew. Każda brygada ma dwie duże łodzie do ciągnięcia niewodów, a na głowie... roczny plan do wykonania. W 1986 r. rybacy z Dobiegniewa złowili na przykład 11 ton węgorzy, ale bywają i słabsze lata. Józek z Frankiem mówią, że dobry dzień jest wtedy, gdy po przesortowaniu wypadnie na trzech przynajmniej 50 kg ryby. Wtedy zadowolony jest i zakład, i kierowcy, i pracownicy stawów w Głusku, dokąd odwozi się „urobek”, i wreszcie sami rybacy.

Stawki za złowione ryby są bardzo różne. Za 1 kg żywego węgorza rybacy otrzymują 160 zł i ewentualnie 70 zł

jeziorach. Mało brakowało, a mielibyśmy państwo w państwie.

Każdy z nich ma swoje ulubione jezioro. Józek i jego żona Irena mówią na przykład „nasze” o tym, które rozciąga się tuż za ich domem w Łasku.

— Jakże tam ono nasze — śmieje się gospodyni. — Tyle tylko, że człowiek pilnuje, aby nikt tam nie kłusował. Opinia robi jednak swoje, więc przyjeźdźni przychodzą i pytają, czy mogą na nim trochę powędrować. A może to i lepiej, że czują respekt przed miejscowymi!...

KLUSOWNICY

Zadnych oporów nie mają jednak ludzie, dla których ważny jest tylko zysk ze sprzedanej ryby. Zawodowi rybacy twierdzą, że tylko nieliczni mieszkańcy Łaska, Brenia czy Wygonu nie trują się kłusownictwem. Wodni rabusie dysponują często lepszym sprzętem, niż rybacy, wiedzą doskonale, gdzie i kiedy żerują ryby, więc ich wontony są zawsze pełne. Skąd biorą ten specjalistyczny sprzęt, skoro handel nie prowadzi jego sprzedaży dla indywidualnych klientów?

— Kupują za łapówki, po protekcji, albo po prostu kradną nam — mówi Józek. — Ciągłe giną wontony i mirosze, od niewodów są obrzucane matnie, zdarzają się też włamania do magazynów. Niektórzy kłusownicy są tak bezczelni, że kradną ryby nawet z sadzów, łusgarów i podrecznych łodowni, do których wkładamy nasz połów. A my nie mamy żadnych możliwości karania tych ludzi!...

Rybacy sygnalizują konkretnymi przykładami, jak z rękawa Józek zauważył, po dwóch latach własną sieć u gospodarza w Breniu, ale ten wywinął się od odpowiedzialności twierdząc, że znalazł ją w lesie. Kiedy indziej złapał tu sownika na gorącym uczynku, ale ten, pobawiony jego szwagra batem i grojąc rybaków siekierą, zdolał uciec swoim wozem. Józek trzy dni szukał charakterystycznego konia, a gdy wreszcie dotarł do jego obecnego właściciela w Breniu, prokurator umorzył postępowanie na skutek uchybień proceduralnych przy legitymowaniu kłusownika. Kiedyś rybacy mieli poświadczone przez Urząd Wojewódzki w Gorzowie legitymacje strażników wodnych, teraz natomiast są wobec wodnych przestępców bezbronni...

Jedynym sposobem walki z tą plagą są bardzo wysokie kary — twierdzą rybacy. — Co z tego, że kłusownik zapłaci nieraz na kolegium 15 tysięcy złotych grzywny za złowienie 30-40 kilogramów węgorza, skoro wcześniej zdążył sprzedać tę rybę za 40 tysięcy złotych? Słyszeliśmy, że osoby, złapane teraz na gorącym uczynku oprócz kary na kolegium — placą jeszcze na rzecz zakładu dziesięciokrotną wartość przywłaszczonych ryb. Mimo tego w okolicznych wioskach nadal kwitnie kłusownictwo na prawdziwie przemysłową skalę. Ludzie mają własne agregaty, łapiają ryby w nocy przy świetle bardzo silnych reflektorów tak, że my nie możemy czasem po nich nie złapać. Z okolicznych akwenów bardzo dużą wydajność z hektara ma tylko jezioro Dobiegniew, a tu na dodatek jeszcze ci kłusownicy. Czasem to człowiekowi po prostu ręce opadają!...

Ani się obejrzelismy, a na tych rozmowach minęło nam prawie sześć godzin połowu. Na dnie łódki wiążą się kilkadziesiąt węgorzy, kilka szczupaków, karasi i leszczy.

— Oj, słaby dzisiaj dzień — kręca z niezadowolonym głosem mój gospodarz. — Jak się tak wszystko przesortuje i zwąży, to wyjdzie najwyżej z 20 kilo ryby!...

W domu pani Irena podaje smaczny obiad oczywiście z ryby.

— Skoro pan już przyjechał popatrzeć na pracę mojego męża, to niech pan też napisze o naszym domu. Jest własnością zakładu, a już od czterech lat nie możemy się doprosić remontu. Chcieliśmy też wziąć w użytkowanie albo nawet kupić dwa pokoje od podwórza, ale kierownictwo twierdzi, że „rybakówka” jest dwurodzinna i mielibyśmy za dużą powierzchnię. A nie szkoda to tak po prostu niszczyć, przez nikogo nie zamieszkałej chałupy?

— Z tymi remontami to święta prawda — dodaje Franek. — U mnie to chyba był się przezeń na samym progu. Jedne meble już wyrzuciłem, tak mi zawilgotniały, teraz tylko patrzeć, kiedy będę musiał zrobić to samo z drugim kompletem. Nasza dyrekcja uważa, że skoro prawie wszyscy rybacy placą jedynie za pracę i wodę, to nie powinni się już niczego więcej domagać. Ale jak tu człowiek ma się nie denerwować, gdy na przykład u mnie za ścianą stoją od lat i niszczą z powodu dziurawego dachu trzy kuchnie i sześć pokoi?!

Zadnych zastrzeżeń nie ma tylko Jasio — Osmioletni syn Józka. Jemu podobna się i dom i praca taty i łusgarnie węgorzy, które codziennie dźwiga znowu jeziora razem z ojcem. A jak już będzie duży, to na pewno zostanie strażnikiem. Na ryby będzie chodził tylko dla przyjemności.

Pocztówka z Leszna

ANNA I GOBELINY

Nim na rynku przed XVII-wiecznym ratuszem huknęło sto trąb i nim prezydent Zenon Lorek powitał gości, zdążył wypić kawę w „sztabie dowództwa” i zapisać kpt. Józefa Ossowskiego, czy milicjant pokazujący się publicznie na scenie, nie wystawia przypadek porządku i prawa. Rano upomina kierowników, pisze mandaty, przegania chuliganów i zakłada przestępcom kajdanki, a wieczorem kłania się np. w kabinie i czeka na oklaski!

Kpt. Ossowski, który jest rzeczniczem prasowym szefa WUSW w Lesznie, odpowiedział, że wprowadził sam spiewa tylko przy gojeniu i nie grywa na żadnym instrumencie, tylko łowi ryby, ale, jak zdążył stwierdzić przy okazji podobnych imprez, których było wiele, twórczość amatorska ludzi pracujących w MO, nie tylko w dziedzinie muzyki i śpiewu, lecz także plastyki, fotografii itp., przyjmowana jest przez społeczeństwo z ciekawością, tak samo, jak twórczość ludzi, pracujących w innych zawodach.

Ciekawością zyciową — dodałam — nie samą potem, gdy już na rynku niebieskim od mundurów, stałam w tłumie mieszkańców Leszna, oklaskując po pisy milicyjnych orkiestr dętych. Paradne szamanki, białe getry, błyszczące w słońcu instrumenty i melodie od marsza po walc — ten szkielet, ten ryt, ta graja! Prawdę mówię piosenka sprzed lat, że „jest w orkiestrach dętych jakaś siła”. W pierwszym dniu, podczas otwarcia „Prezentacji '88” wystąpiły tylko cztery: z Krakowa, Warszawy, Poznania i Wrocławia oraz młodzież zespół z Leszna, ale nazajutrz miało ich być więcej: z Białegostoku, Lublina, Rzeszowa, Szczecina, Ostrowa i Tarnobrzegu.

Tłum na rynku rozdzielił się i część podążyła do salonu BWA, by uczestniczyć w otwarciu wystawy malarstwa, część do Muzeum Okręgowego, gdzie otwierano właśnie ekspozycję medalierstwa, a część do WDK, by obejrzeć obrazy malowane przez podchorążych Wyższej Szkoły Milicyjnej w Szczecinie oraz pracowników tej uczelni, galerię fotografiki, drzeworytów i rysunków oraz coś, co mnie interesowało — chyba najbardziej: dzieła pań z Klubu Tkań Artystycznej „Anna”, działającego przy WUSW w Zielonej Górze.

W gobelin modrozielony, w gobelin złoty i siwy dajcie mi uciec, o ludzie! — pisała, Maria Jasnorzewska Pawlikowska. Tak właśnie „w gobelin uciekać”, piętnaście członkiń Koła Rodzin Milicyjnej założyło ten klub pod wodzą kpt. Anny Brożek i nazwało go jej imieniem. Do Leszna zielonogórzanek przyjechały osobście, by swój „wielki” dzieł ponad dziesięć w postaci kilku dzieł pięknych, barwnych gobelinów zaprezentować osobście. — Czy do tkania potrzebny jest talent, czy może wystarczy tylko chęć i cierpliwość — spytałam, na co odpowiedziały chórem, że oczywiście talent, gdyż bez niego tkanina nie ujawni swej „duży”.

Zdumiewa bogata twórczość malarstwa oficerów MO: kpt. Jana Kokoryna ze Szczecina i mjr Benedykta Zytę z Leszna. Silnie przemawiają do zwiedzających obrazy w hali WDK, pochodzące z kolekcji piosenek amatorskich MO w Dołżycy, Unieściu i Ciane, ale w zielonych i błękitnych, z mglistą wspomnień o jakimś kościółku, zaułku, ścieżce kolejki wąskotorowej.

Szacowne grono przy stole patrzy na przewodniczącego zebrania, który mówi: „Dzisiejszą nagrodę poświęcamy dyskusji na temat dnia bez narad. O zabranie głosu proszę...”. Podpatrzone sytuacje na ulicy w życiu, podczas pracy funkcjonariuszy MO, rysują zabawę na kreskę dwaj kapitanowie z częstochowskiego WUSW: Marek Lewandowski i Arkadiusz Konarski.

Godne pozazdroszczenia kolekcje medalii związanych z historią Polski, dziełami ruchu robotniczego, działalnością MO, wszelkimi rocznicami oraz przedstawił portrety słynnych Polaków, pochodzą z zbiorów plk. Stanisława Nowickiego z Warszawy i mjr Rafała Dętyńskiego z Torunia, natomiast kpt. Wiesław Dorosiński z WUSW w Lesznie wystawił odznaczenia wojskowe oraz stare dokumenty.

Prezentacje twórczości amatorskiej pracowników resortu MSW trwające od 26 do 29 maja br. wkomponowane zostały w obchody tradycyjnych Dni Leszna. Wystąpiło wiele zespołów muzycznych i kabaretów, śpiewano piosenki estradowe i poezję, a mieszkańcy Leszna i okolic mieli nie lada rozrywkę. Dla czego ta ogólnopolska impreza zorganizowana została właśnie tu? Ponieważ, jak to powiedziano z trybuny przed ratuszem, Leszno jest jednym z najlepszych miast w dziedzinie ładu i porządku. Do dam od siebie, że także handlu, co sama stwierdziłam, nie bez zaskórki. Słowo pochwały dla organizatorów i pomyślnie dla wszystkich „Prezentacji '88”: wszystkim było na piątkę!

HALINA AŃSKA

RYBACY

Robert Gorbat

sieciami. Ryczący silnik agregatu, o napięciu ponad 200V, na chwilę ogłusza zerujące przy brzegu ryby. Ten moment wystarczy, aby wprawne ręce rybaków wciągnęły je kaszorkami do łodzi.

— Widzisz, że nie mają racji ci, którzy mówią, że agregat zabija ryby? — krzyczy nad moim uchem Franek Rzeźczyński. Sztuki, które rybacy uznali za nie nadające się do odłowu, po chwili oszłomienia wracają do siebie i nikną pod wodą. Na powierzchni nie pozostaje ani jedna wywrocona do góry brzuchem ryba.

Jest wcześnie rano, więc cały czas płyniemy blisko brzegu. Węgorz lubi przede wszystkim ciemne noce, ale po takiej kąpieli, jak dzisiaj, na pewno zeruje teraz przy mulistych, zarodnietych brzegach. Trzeba się spieszyć z połowem, bo jak się naje, to ucieknie na głębiny, a stamtąd bardzo trudno go wyciągnąć. A zresztą nie tylko węgorza, w gruncie rzeczy każda ryba ma swoją filozofię. I rybacy muszą o tym wiedzieć, gdyż w przeciwnym wypadku będą wracali z połowów z pustymi rękami.

SEZONY

Rybacy śródładowi nie znają pojęcia „martwy okres”. Dla nich dobra jest każda pogoda i każda pora roku. Od puszczenia łodów do pierwszego lipca łapia na agregat, a na cieplech wodnych ustawiają w tym czasie żaki, przystawki, mirosze i wontony na węgorze. Wszy skłie o co najmniej 15-milimetrowej średnicy oczek. Wiosna to sezon węgorzowych żniw, bo wtedy ryba wyrusza z jezior na tarła na Morzu Saragassowym. Samce wybierają się w tę ostatnią dla nich wędrówkę (po złożeniu młeczka giną) po przeżyciu 7-10 lat i osiągnięciu około 40 cm długości, a samice czekają na tarło 15-20 lat. Nasze wody śródładowe i cieśniny duńskie są jednak tak zanieczyszczone, że tylko nieliczne sztuki osiągają cel wędrówki. Lepiej więc wylapać te dorodne węgorze przy wychodzeniu z jezior, niż pozwolić na ich wyginiecie w brudnych morzach. Węgorza w naszych jeziorach nigdy nie zabraknie, bo pracownicy państwowych gospodarstw rybackich mają obowiązek zarybiania akwenów narybkiem, sprowadzanym regularnie z Francji, RFN i Holandii.

Sprzętu sławnego używa się też wiosną do odłowów szczupaka na pozyskanie ikry oraz płoci i leszcza. Niekwestionowanym przez rybaków królem naszych jezior jest jednak o tej porze roku węgorz.

Co innego latem, gdy wolno już łapać sieciami i niewodami. Wtedy dobra jest każda wymiarowa, biała ryba. Rybacy wiedzą, że w tym okresie woda jest „najmiększa”, a ryby są najbardziej przebiegłe. Taki karp czy leszczyk potrafią się na przykład położyć na dnie, ominąć cięgniętą przez rybaków sieć, a przy okazji wyprowadzić z matni większe płotki. Najtrudniej jest złapać dużego karpia, któremu elektrody z kaszorkiem trzeba wsadzić dosłownie na sam łeb.

Jesienią i zimą woda „twardnieje”. Wtedy połowy są największe, bo ryby grupują się w jednym miejscu. Kiedy tylko łód osiąga grubość 12 mm, wówczas wychodzi się na niego z kołowrotkami, a jak ma przynajmniej 15 mm, to można już ustawić winde z silnikami. I trzeba bardzo uważać na parzeliska. W miejscach, gdzie przechodzą ciepłe prądy, łód jest bardzo cieniła, więc łatwo o przymusową kąpiel. Józek mówi, że kiedyś skapał się tak jednego dnia pięć razy, a i z łódki też się nie raz zdarza wypaść. Połowy powinni przerywać dopiero wówczas, gdy siła wiatru przekracza osiem stopni w skali Beauforta, ale kto by tam patrzył na jakieś wiatromierze? Najważniejszy jest zdrowy rozsądek.

POWOLANIE

Pora na przedstawienie moich gospodarzy. Są nimi Franciszek Tkocz z

Józek opowiada, że kiedyś pracował w cegielni w Pioniu, ma też w ręku papiery na wykonywanie zawodów palacza i szewca, ale całe życie ciągnęło go do wody:

— Mam u siebie jakieś rybackie zapieczętowanie. Czuję, że żadna inna praca nie przyniosłaby mi tyle satysfakcji, co rybactwo, choć na przykład w cegielni zarabiałem o niebo lepiej.

Ohydźmy mówią, że warunki pracy mają teraz nieporównywalnie lepsze,

premię eksportową, jeśli ryby zostały zakwalifikowane do I klasy (to znaczy ważą minimum 30 dag i mają wąskie pyski). Za dużego leszcza płaci się 30 zł za 1 kg, za łina — 45 zł, za płotkę — 5 zł (12 zł za naprawdę spore sztuki), a za 1 kg ikry szczupaka — 120 zł. Dużo to, czy mało? W sklepie 1 kg węgorza kosztuje około 2,5 tys. zł!...

Rybacy twierdzą, że stawki byłyby znaczne, gdyby nie fakt, że oni w dziedzinie muszą zarobić na ponad 30-osob-



Fot.: CZESŁAW LUNIEWICZ

niż kiedyś. Bawelniane sieci, które dawniej trzeba było ciągnąć suszyć, zostały wyparte już przez niewody ze stilonu (choć ten stilon, bo hol, już nie taki, jaki na początku, od ubiegłego roku używają falban z ołowianymi ciężarkami, przyszywanymi do spodniej linki sieci na węgorze, coraz więcej jest też silników do łodzi i samochodów transportowych. Chociaż — różnie to z tą nowoczesnością bywa. Kiedyś każda brygada miała dwa konie i nikt nie czekał nigdy na samochód z zakładu, który za kilka godzin przyjeździe... albo i nie przyjeździe, odebrać złowioną rybę. Józek z Frankiem znają się od 1968 r., więc wiedzą, jak było.

RYBACKA DOLA

Dziewięciu rybaków z dobiegniewskiego zakładu pracuje na jeziorach międzydychodzie PGryb. o powierzchni 2,3 tys. ha, położonych na północno-wschodnim krańcu województwa go-

nową załogę zakładu. No, i te łodzie. Z jezior można by wyciągnąć jeszcze więcej ryby, ale drewniane łodki, które dostają z Międzyrzecza, wytrzymują na wodzie najwyżej dwa lata. Dyrektor PGryb Lechosław Liszkowski, były rybak, to duża chłop ale ciągle nie mogą się jakoś dogadać, aby firma kupiła im plastikowe łodzie. Byłoby na pewno taniej, zaś rybacy zajęliby się wreszcie łowieniem ryb, a nie whijaniem kolków w dziury po sekach...

— W sumie da się jednak żyć, bo jak się człowiek nie obija, to i pensja jest niezła, i co kwartał wypadnie premia motywacyjna, czasem eksportowa, i na trzynastkę się uzbiera — twierdzi Franek. — Kiedyś chodzili pogłoski, że zakłady rybackie będą dzierżawiły rybakom jeziora. To by dopiero było życie! Ktoś się jednak na czas opamiętał, bo rybacy przecież nie w ciemie błądzą i sprzedawaliby całą swoją rybę złowioną państwowym sprzętem w państwowych

HOMO CZY HETERO?

— Kim jest chłopczyk na portrecie?
— To mój synek. Kłęczy i trzyma świecę, obok białe lilie. Pamiętka pierwszej komunii. Stare dzieje. On ma dziś 35 lat i już przestał się modlić.
— A Pani?
— Ja się modlę. Człowiekowi potrzebny jest kontakt z Bogiem. Każdy potrzebuje boskiej opieki.
— Ale postępuje Pani wbrew systemowi, który Bóg stworzył. Kobieta w łóżku z kobietą! Nie jest to tak, jak pan Bóg przykazał. To, mówiąc potocznie obraża Boska.
— Co też pani wygaduje! Dlaczego Bóg miałby zwracać uwagę na takie małe sprawy? Bóg zostawia człowiekowi dowolność, mówi — żyj sobie człowieku jak chcesz, bylebyś tylko nie kradł, nie mordował, nie oszukiwał i nie miał innych bogów przede mną. Bóg, proszę pani, ma poważniejsze problemy, niż zagładanie do łóżek. Problemy związane z istnieniem świata.
— Więc modli się Pani, chodzi do kościoła i zapewne przystępuje do spowiedzi. Czy wyznaje Pani przed konfesonalem, co Pani robi?
— A co ja takiego robię, że bym miała księdza opowiadać? Zawracam głowę jakimś młodzieńkiem wikarzem z uduchowioną twarzą? Przecież seks, jakikolwiek by nie był, nie jest grzechem! Proszę mi wskazać to przykazanie boskie, które wyraża się braniem miłości między ludźmi tej samej płci. Takiego przykazania nie ma!
— Przecież Pani zachowanie pełnej anonimowości, za to Pani obiecała mi szczerść. Proszę więc powiedzieć, jak to z Panią jest? Mężatka i matka, kobieta, która zna smak miłości z mężczyzną i która wie, czym jest macierzyństwo, dlaczego nagle ucieka w homoseksualizm?
— Po pierwsze nie nagle. Miłość z mężczyzną nie sprawiała mi przyjemności. Zawsze pozostawała mi niedobry smak. Po drugie chyba już urodziłam się tak, ponieważ odkąd pamiętam, podciągały mnie kobiety. Byłam sierotą w domu dziecka. Tam straciłam cnotę z chłopakiem starszym ode mnie o trzy lata, gdy sama miałam lat trzynaście. Wszystkie tak robiły, więc i ja się zdecydowałam. Już wtedy lubiłam w nocy wchodzić do łóżek dziewczyn. Było to surowo zabronione. Ładnych parę godzin przesiedziałyśmy za karę w ciemności, bez jedzenia i picia.
— Przebywała Pani w domu dziecka do pełnoletności?
— Na szczęście nie. Gdyby tak było, nie zdołałabym chyba zdobyć wykształcenia. Jakimś cudem odnalazła się moja rodzina i zabrała mnie do siebie. Byli to bezdzietni ciotki z wujkiem, oboje już dość starzy. Zajęli się gorliwie moimi brakami w nauce i wychowaniu.
— Dzieci wzięte z domu dziecka często uciekają, znam wiele takich przypadków.
— I mnie kusiło czasem. Ucieczki należały do „fasonu”. Ale nie zrobiłam tego. Przetrzymałam nowe rygory, którym trzeba było się podporządkować. Przyłożyłam się do nauki. Ciotka i wujek wykazali ogromne zrozumienie dla takiego zblakowanego dziecka, jakim byłam. Proszę sobie wyobrazić, że nie zabraniali mi nawet palenia papierosów, gdy spostrzegli, że „kurzę” w toalecie.
— Przepraszam, a co się stało z Pani rodzicami?
— Zginęli w Powstaniu Warszawskim. A wie Pani, że zdarzył się drugi cud? Zdałam maturę i egzamin na studia. W tym samym jednak czasie ciotka, będąca już w bardzo podeszłym wieku, wydała mnie za mąż za człowieka starszego ode mnie o prawie 30 lat. Nie protestowałam, gdyż zamążyć się w mojej sytuacji było rozwiązaniem nadzwyczaj korzystnym.
— Ile Pani miała wtedy lat?
— Dokładnie 19 lat i dwa miesiące. Wkrótce urodził się mój syn. Ciężko zniósłam poród, toteż przysięgam sobie nigdy już nie zachodzić w ciążę. Ograniczyłam do minimum sprawy tzw. małżeńskiego łoża. Było ono zresztą nieciekawe i chłodne. A tak na prawdę, to wcale nie istniało, gdyż sypialiśmy oddzielnie.
— Czy mąż zdawał sobie sprawę z Pani odmienności seksualnej?
— Nie podejrzewał, o nie nie pytał i mało się mna interesował. Po trzecie seksualne miał niewielkie. Był człowiekiem poważnym i majetnym na stanowisku. Często wyjeżdżał. Zbliżała się do mnie rzadko, a nasze stosunki cielesne były krótkie i nie zawsze kończyły się tak, jak powinny. Nie miałam podstaw, by sądzić, że mąż interesuje się innymi kobietami. On po pro-

stu nie miał temperamentu, a z czasem zrobił się impotentem. Tymczasem we mnie aż się wszystko burzyło. Pragnęłam silnych doznań i znajdowałam je w moim środowisku.
— Z kobietami?
— Nie tylko. Wiele razy zdarzało mi się przesiąść z kolegami. Chodziłam nawet z jednym. Ale kochałam się wtedy w jego siostrze.
— Czy seks, Pani zdaniem, ma duże znaczenie w życiu człowieka?
— Kolosalne! Jest jedną z największych przyjemności w życiu, które samo bywa najczęściej podłe, smutne i trudne. Seks jest prosty i łatwy. Ja lubię kochać się z kobietami. Ale większość kobiet kocha się z mężczyzną i o takich, jak ja, wyraża się z pogardą. Są z kolei mężczyźni, dla których kobiety nie mają powabu i którzy pożądamy tylko mężczyzn. W świecie jest coraz więcej takich osób obojga płci, które potrafią być sprawne w łóżku zarówno z kobietą jak i mężczyzną, a przy tym same doznawać rozkoszy. Wszystko to bierze się przecież z natury, więc powinno być tolerowane. Jestem za pełnym wyzwoleniem seksualnym. To nie Bóg zabrania miłości, tylko ludzie. Ludzie stworzyli obyczaje i zakazy, przeciwko sobie.
— Czy pamięta Pani ten pierwszy raz — z kobietą?
— Tak. Było to podczas ostrej zimy. Wiał straszny wiatr i na strychu gwizdało. Bałyśmy się i pchałyśmy się do łóżek po kilka na raz z głowami pod kołdrą. Któregoś nocy poczułam delikatne dotknięcie, najpierw całą dłoń, potem palcami. Było to ogromnie podniecające. Odtąd robiliśmy to co noc, coraz śmielej. Porobiły się pary. Tak się zaczęło.
— Ile miałyście lat?
— Jedenaście, dwanaście, niektóre mniej.
— Wspomniała Pani o przyjaciółce z tamtego okresu. Czy to ta piękna pani na fotografii?
— Tak, to ona. Tak wygląda dziś. Jest aktorką. Wówczas miała włosy ostrzyżone na zapakę, krzywe zęby i nie nie zapowiadała jej dzisiejszej urody. Jej udało się wcześniej wyrwać z domu dziecka. Ojciec powrócił z jakiegoś stalagu i wziął ją do siebie.
— O czym pisujecie w listach?
— O wszystkim. Zwieramy się sobie z intymnych spraw. Ona ma tzw. męski charakter. Jest silna, bardziej niż ja przedśrobieczka, zaborcza i odważna. Rozwiodła się kolejnymi trzema mężami. Nie ma dzieci.
— Jesteście obie po pięćdziesiątce. Jeśli się spotykacie, czy dalej podnieca was wzajemna obecność?
— Lubimy ze sobą przebywać i gdy nadarzy się okazja, bywamy u siebie. Zdarza się nawet, że spotykamy się w czwórce, to znaczy ja ze swoją obecną towarzyszką i ona ze swoją.
— A co robicie, gdy zostajecie same?
— Nie wspominamy dzieciństwa, widocznie jeszcze nie czas na to. Chętnie kładziemy się do łóżka i kochamy się. Mówię to, bo chyba o to chodzi w Pani pytaniu? Dogadamy sobie wzajemnie. Czekaładki, czasem ziołka, czasem odrobina alkoholu.
— Odrobina? Sądzę po zapasie w Pani barku...
— Nie moja droga, nie jestem pijacką. Po prostu lubię czasem wypić kieliszek czegoś dobrego. Koniak, brandy, wytrawna cytrynowka. Kiedyś pilałam zbyt wiele, to prawda. Dziś nie te czasy i nie to zdrowie.
— Co na to wszystkie Pani maż?
— Jest zadowolony. Ma ponad 80 lat i dobrą opiekę. Pomógł mi kiedyś, teraz ja pomagam jemu. Szanuje go, a on szanuje mnie i moje przyjaciółki.
— Nigdy nie był zazdrosny?
— On nie, ale zazdrosne były moje kobiety. Przyjaciółka, która mieszka ze mną teraz, jest bardzo zazdrosna. Nie ustannie domaga się, jakby to określić, potwierdzenia uczuć z mojej strony. Chce wszędzie ze mną być, chodzić, jeździć. Nie jest to możliwe, gdyż pracujemy w różnych zawodach. Ona ma pracę codzienną i systematyczną, a ja nie.
— Jak odnalazłyście się? Wszak kobiet o tych zainteresowaniach jest, jak sądzę, mało.
— Więcej, niż Pani myśli. Przez całe życie, zawsze, mam przy sobie jakąś przyjaciółkę, najczęściej mieszkającą w moim mieszkaniu. Mogę sobie na to pozwolić, bowiem taki mąż, jak mój, nie zawadza. Z obecną moją dziewczyną poznałam się przed paroma laty gdy opuściła mnie moja poprzednia, długoletnia towarzysząca.
— Co było powodem rozstania?

Nie wiadomo co bardziej, ufnosć czy zwątpienie, skarga czy prośba pobrzmiewała w głosie starej kobiety: „Chleba naszego zdeptanego, daj nam dzisiaj, Panie, podnieść z ziemi!”
— Spóźnił się, daj się słyszeć!
— Paulino! Paulino! Idę! Idę! Co to, u was nikogo w domu nie ma? Idę! Pomogę wam! Idę, pomogę wam, nie płaczcie!
— Widocznie do starej kłęczącej w kącie podwórka między stodołą i chlewikiem doleciał głos młodej kobiety, bo przewała nagle swój lament i podnosząc się z kolan, jednocześnie opuściła głowę w dół, którą przed chwilą miała skierowaną całą twarzą ku niebu. Przez pewną chwilę nadstuchiwała, a potem zapytała cicho:
— Kto tu? Kto?
— Co, nie poznajecie mnie? To ja, sąsiadka, zawsze poznawaliście.
— Ach, pochwalony, pani Stasiu. Pochwalony!
— Co mam podnieść, Paulino, z ziemi?
— Stara przyłożyła dłoń do ucha i najpierw skierowała je w prawą stronę, a potem w lewą, jakby czegoś wokoło szukała słuchem, a potem wymijająco powiedziała, nadal nadstuchując:
— Ja was, pani, poznaję, po tych gumowych butach, co po łydkach cholewami chłapią, albo po tych, co obcasami po podwórku stukają, a dzisiaj wy pani tak cicho, tak cicho, a może pani tu przez cały czas?
— I urwała, zostawiając półotwarte usta jakby chciała powiedzieć „nie mam w nich żadnego słowa dla was, pani, boście mnie zaszli tak cicho”...
— Te półotwarte usta i nadstuchiwanie, czy ktoś jeszcze w podwórzu się nie porusza, kazały domyśleć się Stasi, że w rodzinie Pauliny musiało się wydarzyć coś złego. Uchwyciła więc starą za rękę i doprowadziwszy do ławeczki powiedziała spokojnym i ciepłym głosem:
— Nie bójcie się, nie lękajcie, jesteście same, a ja przybiegłam...
— Co wy mówicie? — nieśmiało przerwała Stasia. — Przecież to nie tak. W pacierzu jest „Chleba naszego powszedniego”.

ZDEPTANEGO PODNIIEŚĆ

Michał Kaziów

opowiadanie

— Nu, jak my je sami — przerwała głucho Paulina — to czemu pani tak cicho...
— Co cicho, ach, rozumiem, nie słyszeliście moich butów. No bo jak usłyszałam wasze wołanie, to wyskoczyłam z mieszkanka w bamboszach. Przybiegłam i nie widzę, co podnieść. Co odszukać?
— Pyta pani, co podnieść? Co podnieść? Dobra z pani kobietą i ja nieraz mówię do brata Grzegorza, że gdyby miał taku synowitę, to żyłby nie miałby dostępu do naszego domu i nie mógłby wdeptywać w ziemię, w błoto.
— Zna bratanek Agnieszka była wyjątkowo przewrotna i złośliwa, i ile razy starej ślepej Paulinie coś wypadło z rąk, nigdy nie pomogła ciotce meża i jak tylko mogła wykopnęła to coś spod rąk starej lub przydeptała. Wiedziała o tym wszystkim sąsiadka Stanisława i pospiesznie dobiegała:
— Nie ma tu Agnisi i nie nie widzę, by coś rozdeptała...
— I nie zobaczy, pani, i nie podniesie, choć ma pani dobre serce... Nie podnieście, bo tu trzeba dużo rąk i dużo dobrych serc, aby podnieść, aby wydzignąć. Dużo do tych serc. I jak nie podnieść, a jak nabożnie, jak ojcowie nasi nie ucałuj, to będzie dużo, dużo placzu.
— Wynieszczone i nadmierne wychudła twarz Pauliny, pokryta była jakby drobną gęstą siecią siwawej pętni. Kto na tę twarz patrzył i na te nieruchome ślepe oczy, odnosił wrażenie, że nie jest to żywa istota, lecz stara zmurszała rzeźba. Kiedy jednak mówiła o tym, co w głębi duszy swej czuła, używając zagadkowych słów, jej twarz po krywał delikatna rdzawa mgiełka. I wówczas odnosiło się wrażenie, że rzeźba ożyła i nieczym Sybilla przepowiada, przestrzega.
— Młoda sąsiadka, która przed laty przesłała trudną skomplikowaną operację serca i była nie tylko czujna na ludzką dół i niedole, ale też nadwrażliwa, niemal egzaltowana, kiedy spojrzała na starą i słuchała tych aforystycznych zdań, z łękiem zapytała:
— O czym wy Paulino...
— Przy furcie zaszczekał pies. Stara pospiesznie zerwała się z ławeczki. Głową wtuliła między ramiona. Ożywiona twarz znów zmieniła się w zmurszałą, starą rzeźbę. Wyciągnęła przed siebie rękę i dotykając ściany skierowała się do starego opuszczonego chlewika. Jak ta dzika zwierzęcina, która instynktownie wyczuje niebezpieczeństwo, pospiesznie umyka do swojej kryjówki, tak i Paulina od pewnego czasu na każdy podejrzaną szelest, ostrzeżenie z rodziny, reagowała ucieczką. Ucieczką do chlewika z domu, w którym do niedawna jeszcze tak bardzo troskliwe gospodarzyla.
— Po śmierci bratowej zastępowała matkę trzem bratanek. Traciła pomalutkę wzrok, ale wciąż wykonywała wszystkie roboty, jakie kobieta powinna robić w obejściu i w domu. Później, gdy już całkowicie zaniewidziała, dalej radziła sobie i nikt nie chodził ani brudny, ani głodny.
— Grzegorz nie chciał się drugi raz żenić. Mawiał często: „Kto moim synem zastąpi tak matkę, jak ich rodzona ciotka?” I zastępowała. Prała, gotowała i jak prawdziwa matka kochała i była kochana. Wreszcie najstarszy z trójki Mikołaj odszedł wojsko i zaprzagnął się ożenić. Wyszukał sobie dziewczynę, gdzieś na trzeciej wsi. Któregoś dnia oznajmił ojcu, że chce przeprowadzić narzeczoną Agnieszkę, by zobaczyła jak on mieszka, ale w tym czasie ciotka nie może być w domu i powinna pójść posiedzieć do sąsiadów. Wypłakała się wtedy Paulina przed Stasią, wypłakała. Nie dlatego, że nie mogła posiedzieć razem z przyszłą żoną bratanika i jej rodzicami, ale że Mikołaj bał się swojej narzeczonej:
— Musi być ona zła, niedobra — mówiła. — A kto złemu ulega, sam staje się zły.
— Po wizycie narzeczonej Mikołaj najpóźniejszymi słowami zapewniał ciotkę, że wszystko będzie dobrze, bo on nie pozwoli, by ktokolwiek ją, ojca czy braci skrzywdził. Nie pozwolił. Tymczasem niedługo po ożenku Mikołaj zaczął tańczyć, jak mu Agnieszka grała. A grała mu coraz wyśmieniej. A to, że teść brudny, że ślepa, powinna być gdzieś w zakładzie, a dorastający szwagrowie mogliby wynieść się do miasta, do pracy. Bróń Boże, sama o tym wprost nie mówiła. Od czego miała meza? Wystarczyło, że stłok powiedział: „Mikuś, przecież jesteś mężczyzną”. A on udawał, że robi to, co chce. Ciotka Paulina nie mo-

gła znieść tego, że Mikołaj zmienił się w powolną i bezduszną marionetkę. Gdy tylko w domu rozpoczynało się piekło, ona, jak to wystraszone zwierzę wymykała się do chlewika, niby pies do budy. Nie raz, nie dwa ze swoich okien Stasia widziała ją, jak pochylona i z wyciągniętymi do przodu rękami podążała do swojej kryjówki i długo z niej nie wychodziła. Kiedy więc teraz na rowerzystę zaszczekał pies i wystraszona Paulina zerwała się z ławeczki i z wyciągniętą ręką skierowała się do kryjówki, przejęta zalem Stasia uchwyciła ją w pas i machinalnie ucałowała wychudłą i szczupłą jakby dziecięcą rękę.
— Starej i ślepej kobiety przecież nikt nie całował w tę drżącą rękę, więc pocałunek ten niby prąd elektryczny przeszył ją całą i sparaliżował ruchy. Dopiero po dłuższej chwili, gdy doszła do równowagi, kierując twarz ku niebu, w natchnieniu powiedziała:
— Dobras ty, córko i sprawiedliwa i zdeptane podnieść powinna.
— Stasia z łękiem badawczo na nią spojrzała. Czyżby to przesiadywanie w rozwalonym chlewiku, nawet nie w stodołę czy w oborze, lecz w zimnym i przewiewnym chlewiku, pomieszało starej rozum? Udać, że wszystko rozumie, grzecznie powiedziała:
— Ależ, podnieść Paulino, podnieść, przecież po to przyszedłam, kiedyście zawołali i powiedzieli: „Podnieść pani z ziemi!”
— Stara zachnęła się:
— Nie, nie podnieść, tylko daj nam, Panie, podnieść z ziemi. Pani Stasia mnie nie zrozumiała, bo ja się modliłam, a nie wołałam.
— I złożywszy ręce do papieża zaczęła mówić: „Ojcze nasz” i gdy doszła do słów „i bądź wola Twoja jako w niebie tak i na ziemi” z większym patosem zaczęła dalej: „Chleba naszego zdeptanego, dzisiaj, Panie, daj nam podnieść z ziemi i ucałować, jak to ojcowie nasi czynili i odpuść nam nasze winy”.

(Opowiadanie pochodzi z nowego tomu prozy Michała Kaziów, pt. „Zdeptanego podnieść”, wydanego przez Ludową Spółdzielnię Wydawniczą w Warszawie. Książka wkrótce będzie do nabycia w księgarniach.)

Ciąg dalszy na str. 8

Sceny miłosne w literaturze pięknej

Nie mogę pozbyć się myśli, że to zupełnie jak na wojnie. Te jej wysiłki, aby tchnąć we mnie iskry namiętności, nasuwają mi myśl, jakim cholernie marnym byłbym żołnierzem, gdybym zgłupiał na tyle, żeby dać się zapalać i zaciągnąć na front. Dobrze wiem, że poświęciłbym wszystko, łącznie z honorem, byle się tylko wydostać z tego świństwa. To nie na moje zdrowie i tyle. Dziewczyna jednak nabiła sobie głowę tymi piętnastoma frankami i gdybym nawet nie chciał walczyć, zmusi mnie do walki. Nie można jednak rozgrzać do walki człowieka, który jej w sobie nie czuje. Niektórzy mężczyźni są tak tchórzliwi, że nikt nie robi z nich bohaterów, choćby ich zastraszyć na śmierć. Może jesteście na to za mądrzy. Są wśród nas tacy, którzy nie żyją daną chwilą, tylko wybiegają myślą naprzód albo się trochę cofają. Wciąż myślę o transakcji pokojowej. Nie mogę zapomnieć, że tylko przez te piętnaście franków zaczął się ten cały embarras. Piętnaście franków! Cóż dla mnie znaczy piętnaście franków, zwłaszcza jeśli to nie moje piętnaście franków?

Von Norden ma chyba zdrowy stosunek do tych spraw. Też już gównu go obchodzi te piętnaście franków; intrzyga go sama sytuacja. Sytuacja wymaga czynu — to sprawa jego męskości. Piętnaście franków przepadło — wszystko jedno czy wygramy czy nie. To już nie tylko sprawa męskości, ale też może woli. Znowu jak ten człowiek w okopach: nie widzi właściwie sensu, żeby obstawać przy życiu, bo jeśli nawet teraz się wymknie, zostanie złapany później, a mimo to trwa nadal, i choćby miał duszę karalucha i sam się do tego przed sobą przyznał, dając mi tylko karabin albo noż, czy nawet jeśli zostanę mu tylko gołe pazury, będzie mordował bez ustanku i zdąży zaszlachtować milion ludzi, nim się zatrzyma i zada sobie pytanie: po co.

Kiedy obserwuję, jak Van Norden ją bodzie, wydaje mi się, że patrzę na maszynę o wyszlizganych trybach. Gdyby ich zostawił samych, mogliby to ciągnąć bez końca, tracąc się i szlagając i nic by się nie wydarzyło. Aż jakaś ręka nie zatrzyma mechanizmu. Ich widok, kopulujących jak para kozłów, bez najmniejszych oznak namiętności, trących się i trących bez żadnego innego powodu, jak tylko te piętnaście franków, wyzuwa mnie z wszelkich uczuć, poza jednym, nieludzkim — zaspokojeniem ciekawości. Dziewczyna leży na krawędzi łóżka, a Van Norden pochyla się nad nią jak satyr, zapierając się nogami o podłogę. Siedzę na krześle tuż za nimi i obserwuję ich ruchy z chłodną, naukową obiektywnością; dla mnie mogłoby to trwać wiecznie. Jak gdybym się przyglądał jednej z tych wariackich maszyn wyrzucających gazety, miliony, miliardy i biliony gazet z beznadziejnymi nagłówkami. Maszyna w swoim wariackim wydaniu jest bardziej sensowna, bardziej fascynująca dla obserwatora, niż ludzie i te ich wydarzenia. Moje zainteresowanie Van Nordenem i dziewczyną równa się zeru. Gdybym mógł tak siedzieć i obserwować każdy pojedynczy akt rozgrywający się w tej minucie wszędzie na całym świecie, moje zainteresowanie byłoby nawet mniejsze niż zero. Ten fenomen nieczym by się dla mnie nie różnił od padania deszczu czy wybuchu wulkanu. Jeśli brak w nim iskry namiętności, sam akt nie ma ludzkiego wymiaru. Już lepiej obserwować maszynę. A ci dwójce są jak maszyna z wyszlizganymi trybami. Potrzeba ludzkiej ręki, aby ją naprawić. Potrzeba mechanika.

Osuwam się na kolana za Van Nordenem i badam maszynę z większą uwagą. Dziewczyna potrząsa przecząco głową i śle mi rozpaczliwe spojrzenie. — Nie z tego — mówię. — Nie ma mowy. — Na co Van Norden bierze się do roboty z nowym zapalem, zupełnie jak stary cap. Bo dzieją tak zawzięcie, że prędzej połamie sobie rogi, nim da za wygraną. A teraz jeszcze się złości, ponieważ skubię go w zadek.

— Na miłość boską, Joe, przestań! Zamęczysz tę biedną dziewczynę.

— Zostaw mnie — warczę. — Już prawie miałem.

Jego postawa i determinacja, z jaką to mówi przychodzi mi nagle na myśl, już po raz drugi, wspomnienie mojego snu. Tylko teraz wydaje się, jak gdyby kij od szczytki, który tak nonszalancko wsunął pod pachę odchodząc, znikł na zawsze. To jakby dalszy ciąg snu — ten sam Van Norden pozbawiony podstawowego atrybutu. Niczym bohater powracający z wojny, biedny okaleczony skurwysyn przeżyjący nagłą realność własnych snów. Gdziekolwiek siada, krzesło zalamuje się pod nim; gdziekolwiek wchodzi, pokój okazuje się pusty; cokolwiek bierze do ust, zostawia gorzki smak. Wszystko jest takie same jak przedtem; elementy pozostały niezmienne, sen nie różni się od rzeczywistości. Tylko między zaśnięciem a przebudzeniem ukradziono mu ciało. Przypomina maszynę wyrzucającą gazety, codziennie miliony, miliardy gazet z pierwszymi stronami zapełnionymi katastrofami, zamieszkami, morderstwami, wybuchami, kolizjami — ale on nie nie odczuwa. Jeśli ktoś z boku nie przekreśli wyłącznika, nigdy się nie dowie, co znaczy umrzeć; nie sposób umrzeć, kiedy komuś skradziono jego własne ciało. Można dostać dupy i ruchać jak cap w nieskończoność; można pójść do okopów i dać się rozierać na kawałki; nie nie wskrzesze iskry namiętności bez interwencji czynnika ludzkiego. Ktoś musi przyłożyć rękę do maszyny i pokreślić, aby zaskoczyły tryby. Ktoś musi to zrobić nie licząc na nagrodę, nie myśląc o piętnastu frankach; ktoś, czyja pierś jest tak mikra, że przypięty do niej medal przyparzyłby go o garb. I ktoś musi podać lyżkę stawy głodnej dupie, bez obawy, że zaraz wypchnie to z niej z powrotem. W przeciwnym razie cała ta zabawa będzie trwać bez końca. Innego wyjścia nie ma...

Lizałem dupę szefowi przez cały tydzień — co było niezbędne — i udało mi się dostać pracę Peckovera. Biedak umarł, jak się należy, parę godzin po wyrznięciu w dno szczytu i ściśle tak jak przepowiedziałem, urządził mi piękny pogrzeb z uroczystą mszą, olbrzymimi wieńcami i w ogóle z czym trzeba. *Tout compris*. A po ceremonii ci chłopcy z góry uraczyli się w bistro. Wielka szkoda, że Peckover nie mógł w tym wziąć udziału — z zachwytem siedziałby przy jednym stole z tymi z góry i słuchał, ile to razy wspominają jego nazwisko.

Od razu na początku muszę powiedzieć, że nie mam powodów do narzekania. To tak, jak po był w szpitalu wariatów z pozwoleniem onani-

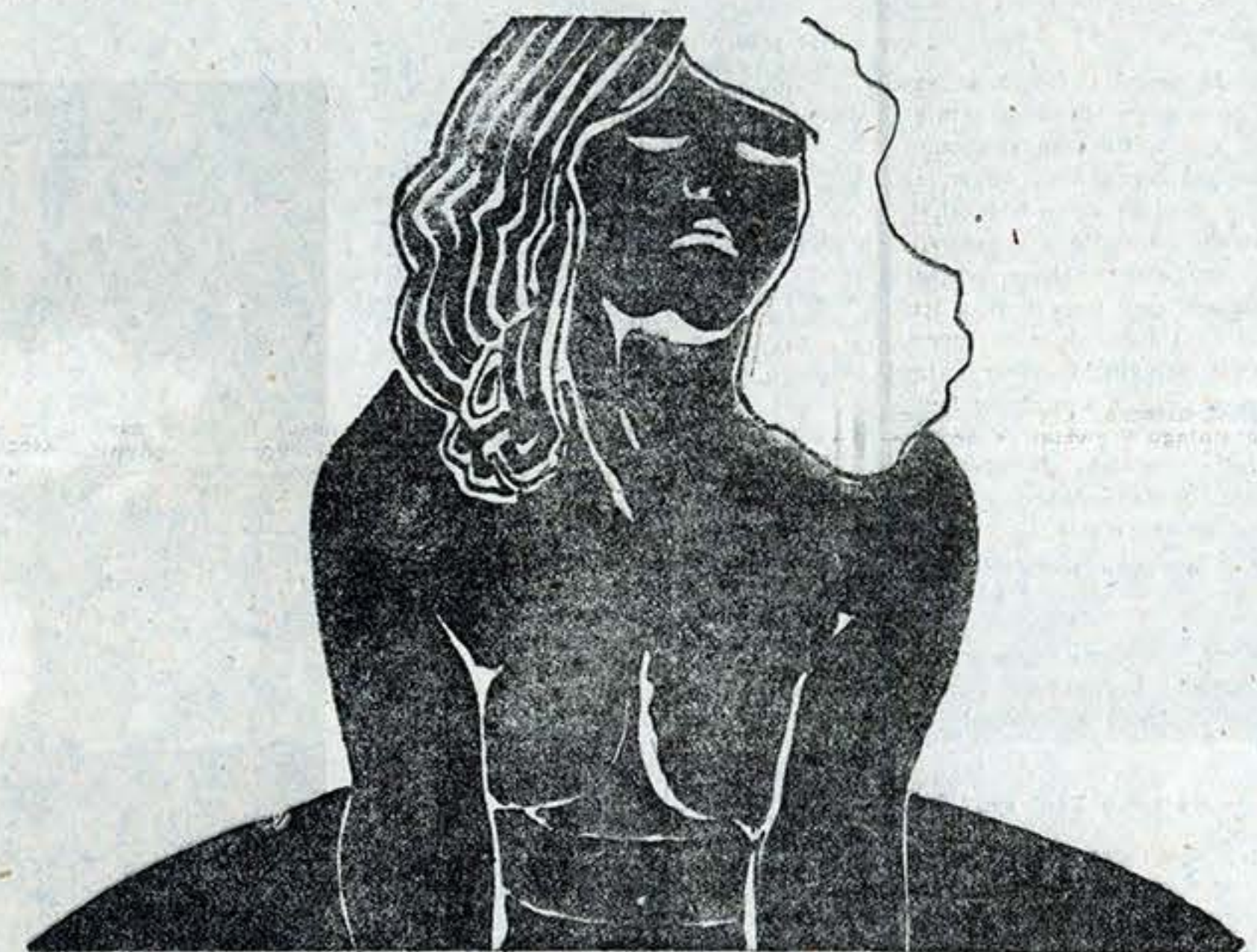
zowania się do końca życia. Świat przynosi mi pod nos, a ode mnie żąda się tylko, żebym szpikował nieszczęścia znakami przestankowymi. A ci spryciarze z górnego pietra we wszystko muszą wciubić nosa: żadna radość, żaden smutek nie przechodzą nie zauważone. Żyją wśród twardej faktury życia, jak to się mówi, osadzeni w rzeczywistości. Jest to realność bagna, a oni sami to żaby, które potrafią tylko skrzeczeć. Im głośniejsze skrzeczą, tym bardziej realne stałe się życie. Prawnik, duchowny, lekarz, polityk, dziennikarz — to — szariatani, którzy trzymają rękę na pulsie świata. Stała atmosfera kłeski. Coś cudownego. Jak barometr nie pokazujący zmian, jak flaga zawsze opuszczona do połowy masztu. Widać teraz, jak idea nieba zawiadnęła ludzką świadomością, jak się umacniała nawet wtedy, kiedy wykopywano spod niej podpory. Musi istnieć jakiś inny świat, prócz tego bagna, w którym wszystko się miesza w beładnej kotłowni. Trudno sobie wyobrazić to niebo, o którym śnią ludzie. Żabie niebo — owszem. Niedrowe wyziewy, szumowiny, wodne lilie, stojąca woda. Siedzieć na pływającym liściu i skrzeczeć bez przeszkód cały dzień. Tak to sobie wyobrażam.

Uzdrowiająco doprawdy działają na mnie te katastrofy, których korektę robię. Proszę sobie wyobrazić stan idealnej odporności, czarującą egzystencję, życie całkowicie bezpieczne, w gąszczu trujących bakterii. Nic mnie nie dosięgnie, ani trzęsienie ziemi, ani wybuchy, ani ruchy, ani kłeska głodu, ani żadne wypadki, wojny czy rewolucje. Jestem zaszczycony przeciw każdej chorobie, każdej kłesce, każdemu smutkowi i nieszczęściu. Oto kulminacja życia pełnego hartu. Siedzę w swojej małej niszy, a wszystkie trucizny świata przechodzą przez moje ręce. I nie zaplamiają mi nawet paznokcia. Jestem abso-

ZWROTNIK RAKA

Henry Miller

(7)



Rys.: LESZEK HERMANOWICZ

lutnie uodporniony. Wychodzę na tym lepiej niż asystent w laboratorium, bo nie ma tu złych wyziewów, tylko won topionego ołowiu. Świat może wylecieć w powietrze — a ja i tak będę tkwił tu, aby postawić przecinek albo średnik. Mogę nawet dostać nadciśnienie, bo za takie wydarzenie będą płacić ekstra. Kiedy świat wyleci w powietrze i ostatnie wydanie pójdzie do druku, korektorzy pozbierają spokojnie wszystkie przecinki, średniki, myślniki, gwiazdki, klamry, nawiasy, kropki, wykrzykniki i tak dalej, i złożą je w małym pudełku przed fotelem naczelnego. *Comme ca tout est regle...*

Zaden z moich współtowarzyszy chyba nie rozumie, dlaczego taki jestem zadowolony. Wiecznie tylko narzekają, mają ambicje, chcą okazać swoją dumę i chandrę. Dobry korektor nie ma ambicji ani dumy, ani chandry. Dobry korektor jest trochę jak Bóg Wszechmogący, jest w świecie, ale nie jest z niego. Chyba że w niedziele. W niedziele ma wolne. W niedziele zstępuje ze swego piedestału i pokazuje wiernym dupę. Raz na tydzień wysłuchuje prywatnych smutków i nieszczęścia świata; to mu wystarcza na resztę tygodnia. Przez resztę tygodnia pozostaje w zamazanych zimowych bagnach jak absolut, niepokalany absolut, którego z bezmiaru pustki wyróżnia tylko znak po szczepionce ospy.

Największą zmartowieniem korektora jest groźba utraty posady. Kiedy o świecie wracamy razem do domu, aż nam przebiega dreszcz po krzyżu, gdy ktoś zapyta: co zrobisz, jeśli stracisz posadę? Dla człowieka w tajni wysięgowej, którego obowiązki sprowadzają się do sprzątania nawozu, największy postrach to możliwość istnienia świata bez koni Szczytów głupoty byłoby go przekonywać, że jest coś obrzydliwego w spędzaniu życia przy szufowaniu ciepłego łajna. Człowiek potrafi pokochać gówna, jeśli zależy od tego jego życie, jeśli daje mu to szczęście.

To życie — które, gdybym był nadal człowiekiem nie pozbawionym dumy, honoru, ambicji i tym podobnych, wydawałoby mi się najniższym kręgiem upodlenia — witam teraz tak, jak kaleka wita śmierć. Jest to negatywna rze-

czywistość, zupełnie jak śmierć — niebo bez bólu i lęku przed śmiercią. W tym chronionym świecie leży się tylko ortografia i interpunkcja. Nieważne, jakie to są kłeski, tylko jak się je pisze. Wszystko jest jednakowo ważne, czy to będzie najnowszy model wieczorowej sukni, czy nowy krażownik, epidemia, środek wybuchowy, odkrycie astronomiczne, run na giełdzie, katastrofa kolejowa, bydlęcy targ, traf jeden na co kto woli. Nic nie umknie oku korektora, ale też nic nie przebieje jego kuloodpornej kamizelki. Do Hindusa Aghi Mira pisze pani Scheer (z domu Esteve), że jest bardzo zadowolona z jego pracy. „Wzięliśmy ślub 6 lipca i chciałabym panu podziękować. Jesteśmy bardzo szczęśliwi i mam nadzieję, że dzięki pańskiej mocy będzie tak zawsze. Przesyłam telegraficznie kwotę... w dowód wdzięczności.” Hindus Aghi Mir przepowie ci przyszłość, odczyta twoje myśli w sposób precyzyjny i niewytłumaczalny. Doradzi ci, pomoże pozbyć się wszelkich kłopotów i tak dalej. Zgłoszenia osobiste bądź pisemne: 20 Avenue Mac-Mahon, Paris.

Cudownym sposobem czyta wszystkie twoje myśli! A zatem czyta chyba wszystkie bez wyjątku, od najbardziej pospolitych do najbardziej bezwstydnich. Musi mieć mnóstwo wolnego czasu, ten Aghi Mir. Chyba że koncentruje się tylko na myślach tych osób, które wysyłają mu przekazy telegraficzne? W tym samym numerze spostrzegani nagłówek donoszący, że „wszechświat roz-

tardy pod tylek dla dodania animuszu i odwagi, że idealnym zajęciem dla człowieka z moim temperamentem okazał się wyszukiwanie błędów ortograficznych? Tam u nas nie myśli się o niczym, tylko o tym żeby pewnego dnia zostać prezydentem Stanów Zjednoczonych. Potencjalnie każdy człowiek stanowi materiał na prezydenta. Tu jest inaczej. Tu każdy potencjalnie jest zerem. Jeśli staniesz się czymś lub kimś, będzie to albo przypadek, albo cud. Istnieje tysiąc szans przeciw jednej, że nigdy nie opuścisz swej rodzinnej wsi. Istnieje tysiąc szans przeciw jednej, że przestrzela ci nogi albo wypala oczy. Chyba że zdarzy się cud i stwierdzisz, że jesteś generałem albo kontradmirałem.

Ale właśnie dlatego, że wszystkie szanse są przeciwko tobie, dlatego, że tak mało jest nadziei — życie tutaj płynie tak przyjemnie. Dzień za dniem. Bez wczoraj, bez jutra. Barometr nigdy nie wskazuje zmiany, flaga wisi zawsze w pół masztu. Nosisz kawałek czarnej krepy na rękawie, małą wstążeczkę w butonierce, a jeśli ci się nie powiedzie, kupisz sobie parę lekkich sztucznych kołczyń, najlepiej aluminiowych. Co nie przeszkadza ci popijając z przyjemnością aperitif, oglądając zwierzęta z zoo albo flirtować z kobietami — sepmi żeglującymi po bulwarze w poszukiwaniu świeżej zdobyczy. Czas płynie, jeśli jesteś cudzoziemcem i masz papiery w porządku, możesz zaryzykować infekcję bez obawy zarażenia. Ale lepiej, jeśli się tylko da, mieć posadę korektora. *Comme ca tout s'arrange*. Bo to oznacza, że jeśli przypadkiem, włokąc się do domu o trzeciej nad ranem, natrafisz na patrol policji na rowerach i on cię zaczepi, możesz się nie przejmować. Rano, kiedy targ jest najruchliwszy, możesz kupować belgijskie jajka po pięćdziesiąt centymów za sztukę. Korektor nie wstaje jednak zwykle do południa albo nawet później. Dobrze jest wybrać sobie hotel blisko kina, bo jeśli masz skłonność do przesypiania, to obudzą cię dzwonki na popołudniówkę. Ale gdybyś miał trudności ze znalezieniem hotelu blisko kina, zamieszkał przy cmentarzu, efekt będzie ten sam. Nade wszystko nigdy nie poddawaj się rozpacz. *It ne faut jamais desperer*.

Oto co staram się codziennie wieczorem wbić do głowy Carlowi i Van Nordenowi. Świat bez na dziei, ale nie rozpacz. Zupnie jak gdybym się nawrócił na nową religię, jak gdybym co wieczór odmawiał roczną nowennę do Matki Świętej, Pocieszycielki Strapiionych. Nie wiem, co by komu z tego przyszło, gdybym został redaktorem naczelnym gazety albo nawet prezydentem Stanów Zjednoczonych. Jestem w ślepej uliczce i dobrze mi tu, i wesoło. Z arkuszem korekty w ręce nasłuchuję muzyki i wokół siebie, brzęczenia i buczenia głosów, podzwaniania linotypów, jakby ktoś przeciągał tysiąc srebrnych bransoletek przez wyżymaczkę; od czasu do czasu szczer przeleci nam po nogach albo karaluch zejdzie przed nami po ścianie, zwinnie i ostrożnie stawiając delikatne nóżki. Wydarzenia dnia przepływają ci przed nosem spokojnie, nie ostantacyjnie, czasem tylko jakiś odręczny dopisek wskazuje na obecność ludzkiej ręki, jakiegoś ego, oznaka próżności. Uroczyste sunie procesja, niby orszak pogrzebowy wchodzący w bramy cmentarza. Warstwa papieru pod stołami jest tak gruba, jak dywan z miękkim włosiem. Pod stołem Van Nordena jest on zaplamiony brunatną plwociną. Kółko jedenastej zjawia się sprzedawca fistaszków, ormiański półgłówek, równie jak ja zadowolony ze swej pozycji życiowej.

Od czasu do czasu otrzymuję kablogram od Mory, że przybędzie następnym statkiem. „List w drodze” — zapowiada! Trwa to od dziewięciu miesięcy, ale nigdy nie ma jej nazwiska na liście pasażerów i nigdy też garcon nie przynosi mi na srebrnej tacy listu. Zresztą z tej strony niewiele się spodziewam. Jeśli kiedyś rzeczywiście przybędzie, może mnie poszukać na dole tuż za kłozetem. Prawdopodobnie od razu mi powie, że to niehigieniczne. Pierwsza rzecz, która uderza Amerykankę w Europie, to to, że jest niehigieniczne. Nie potrafi wyobrazić sobie rajy bez nowoczesnej kanalizacji. Jeśli znalazła pluskwę w łóżku, zaraz chce pisać do Izby Handlowej. Jak mam jej wyjaśnić, że mnie jest tu dobrze? Powie, że stałem się degeneratem. Znam tę argumentację od początku do końca. Będzie się rozglądać za pracownią w ogrodzie — i oczywiście z wianą. Chce być biedna na sposób romantyczny. Już ją znam. Ale tym razem jestem przygotowany.

Niemniej jednak bywają dnie, kiedy po zachodzie słońca porucam że utartą ścieżkę myślenia i z prawdziwym głodem myślę o niej. Czasami, na przekór ponuremu zadowoleniu ze swojej sytuacji, mimo woli rozmyślam o innym stylu życia, zastanawiam się, czy rzeczywiście sprawiłoby mi to różnicę, gdybym miał młode niespokojne stworzenie obok siebie. Kłopot w tym, że prawie już nie pamiętam, jak ona wygląda i jak to jest, kiedy się trzyma ją w rejonach. Wszystko, co należy do przeszłości, jakby się zapadło w morzu; mam wspomnienia, ale wrażenia jakby zatracili wyrazistość, wydają się martwe i oderwane, jak nadgrzyzone przez czas mumie tkwiące w trzaskawisku. Kiedy próbuję sobie przypomnieć swoje życie w Nowym Jorku, jawią mi się, niby koszmarnie, pokruszone fragmenty pokryte grynszpanem. Wydaje mi się, że moja własna przytyłość egzystencja doszła do jakiegoś kresu, tylko dokładnie nie wiem, do jakiego. Nie jestem już Amerykaninem ani nowojorczykiem, i nie jestem już Europejczykiem, czy paryżaninem. Nie mam obowiązków ani zobowiązań, nie czuję nienawiści, nie mam zmartwień ani przesad, ani namiętności. Nie jestem za ani przeciw. Jestem neutralny.

(CDN)

(Fragmenty prozy Henry Millera w przekładzie Zofii i Lucjana Porębskich przytaczamy za miesięcznikiem „Literatura na świecie”, nr 5-6 z 1987 r.)

HOMO CZY HETERO?

Ciąg dalszy ze str. 6

— Jej wyjazd za granicę. Bardzo to obie przeżyliśmy, ale nie było innego wyjścia. Teraz pisze, że jednak stało się źle. Prawdopodobnie sprzedała, zabierze oszczędności i powróci za Oceanu z powrotem do Polski.

— Co wtedy będzie?

— Zobaczymy. Ale chciała Pani wiecie, jak znalazłam moją obecną przyjaciółkę. Zobaczyłam ją w sanatorium, podczas biczów szkockich. Zabawne, bo w pierwszej chwili myślałam, że to chłopiec. Była naga. Od razu wydala mi się bliska. Kiedy po zabiegu, otulone w miękkie szlafroki, piłyśmy kawę w moim pokoju, zwierzyła mi się, że jest świeżo po dyplomie i poszukuje pracy. Zaproponowałam jej pomoc w urzędzeniu się w Zielonej Górze. Przyjechała z drugiego końca Polski i została. Niemal od pierwszego momentu rozumiałymy się bez słów. Tak jest do dziś. Była moją pierwszą kobietą po półtorarocznej przerwie. Dobrze jest nam razem. Mimo, iż mogłaby być moją córką, to ona właśnie gra pierwszą skrzypkę w naszym duecie, co czasem mnie samą wydaje się niezrozumiale. Jest silną osobowością.

— Młoda, szczupła, ładna, atrakcyjnie ubrana, może być przedmiotem pożądania mężczyzny. Czy z kolei Pani nie jest zazdrosna? Nie boi się Pani o nią?

— To jest tak. Gdyby przyszła pewnego dnia i powiedziała, że odchodzi, ponieważ pokochała mężczyznę, byłoby to dla mnie cios. Ale nie stawiałabym przeszkód, choćby dlatego, że moim zdaniem kobieta powinna mieć dziecko, a na razie sztuczne zapłodnienie nie jest jeszcze powszechne. Czy Pani wie, że brałam nawet pod uwagę możliwość połączenia jej z moim synem? Gdyby jednak oświadczyła, że odchodzi do innej kobiety, nie wiem, jak bym się zachowała. Ja ją kocham.

— Mimo to zdradza ją Pani, sama Pani mówiła.

— Ach, tamta przyjaźń z dziecięcych lat, to całkiem coś innego. Przy tej odczuwam niepokój, pragnienie, po żądanie, nienasyconie, czuję się młoda i sprawna. Przy tamtej doznaję czegoś odwrotnego: spokoju, pewną słodką odciepłość, dobre sny.

— Czy to, co Pani robi, jest zdaniem Pani, moralne?

— A czy to, co robicie wy — kobiety heteroseksualne, jest moralne? Zdradzacie mężów i kochanków, puszczacie się z każdym, kto tylko was podnieci, dajecie sobie wyskrobywać cięte, robicie sztuczne poronienia i rodzicie dzieci spłodzone po pijanemu — czy to jest moralne?

— Czy Pani wie co o Pani niektórzy mówią? Że jest Pani zbroczona. Myślę więc, że nie jest Pani łatwo żyć i pracować, przy tych skłonnościach.

— To jest Pani w błędzie. Coś takiego jest we mnie, że ludzie do mnie lgną. To mi ułatwia pracę. A że niektórzy coś tam mówią, to niech sobie mówią. Na co dzień moje, jak Pani mówi — skłonności ukrywam. Nie rzucam się na kobiety i nie gwałcę ich. A w ogóle, to marzę o pięknym świecie, w którym całkiem inaczej ustawione byłoby sprawy seksu.

— Jak?

— Wyobraźmy sobie, że mężczyźni kochają się i łączą tylko z mężczyznami, a kobiety tylko z kobietami. Rozmnażanie odbywa się wyłącznie drogą sztucznych zapłodnień. Dzieci wychowywane są w małżeństwach kobiecych. Z pewnością nie byłoby wtedy tylu wojen, ludzie stali się byliby zdrowsi i szczęśliwsi.

— Niech Pani napisać książkę albo scenariusz filmowy.

— Być może zrobię to kiedyś. Ale wie pani? Nie poruszyliśmy szalenie ważnego tematu, który nazywa się AIDS. Odwróćcie rolę i spytam, czym zdaniem pani, jest AIDS?

— Chorobą, czyż nie?

— Według zaklanych moralistów AIDS jest karą za grzech rozwiązłości! Za odmienności seksualne, głównie właśnie za homoseksualizm! Tymczasem przypadek zrzucił, że pierwszy padł ofiarą homoseksualiści! Tylko przypadek!

— Dlatego uważa Pani, iż nie jest to kara?

— Bo jest to po prostu nieszczeście, takie same, jak kiedyś cholera i trąd, takie same, jak nowotwór i stwardnienie rozsiane! I tak, jak tamte straszne choroby, AIDS jest plagą cywilizacji! Nad lekkiem pracując uczeni, miejmy nadzieję — że nie bezskutecznie. Tymczasem moralisci z bożej łaski nawołują do wstrzemięźliwości i mistycyzmu. Zamiast milości cielesnej, wspólne przeżycia duchowe! Psychiczne orgazmy! To śmieszne. Według mnie nie ma sensu się umartwiać. Jestem mimo wszystko za seksem wywołonym. Oczywiście nie zawadzi przestrzegać paru zasad, o których trąbią służby zdrowia na całym świecie.

— Cóż też Pani proponuje? Przecież swoboda seksualna zwiększa możliwość złapania wirusa! Nie przypadkiem właśnie teraz modna staje się monogamia. Ludzie boją się przygód i są sobie wierni bardziej, niż kiedykolwiek.

— A czy ja coś mam przeciwko wierności i monogamii? Sama lubię być wierna i monogamiczna. Pod wyzwoleniem rozumiem swobodę w wyborze płci partnera. Oraz równouprawnienie dla wszystkich spod znaku „homo”, zarówno mężczyzn, jak i kobiet.

— Nim zaczęłam robić notatki powiedziała Pani, że każda kobieta ma zadatki na lesbijkę.

— Bo jest to prawda. Odrobina sadizmu jest przecież w bliskości między matką i córką, dwiema siostrami, przyjaciółkami, koleżankami, kuzynkami. W szkole miałam dwie koleżanki, które trenowały na sobie pocałunki, aby potem wywiercać większe wrażenie na chłopcach, gdy przy tym, a ich ręce błądziły tu i tam. Było to czymś pięknym i naturalnym. Byliśmy im brawo. Po pocałunkach siadały w ławce czerwone, różżane i podniecone. Ich podniecenie udzielało się większości dziewczyn. Mnie najbardziej, ponieważ ja już miałam życie.

— Czy te dziewczyny zostały lesbijkami?

— Raczej nie. Obydwie wyszły za mąż, mają dzieci, kochanków i rozmaite przygody. Znam się z nimi do dziś.

— Co na to wszystko Pani syn?

— W tym miejscu zaczyna się sfera uczuć najtrudniejszych. Mój syn jest artystą. Człowiekiem niesłuchającym wrzawliwym. Dużo wie i rozumie. Nie jest homoseksualistą, choć nie czułabym się specjalnie nieszczęśliwa, gdyby nim był. Pewna kobieta popełniła samobójstwo, gdy dowiedziała się, że jej syn jednak sygnalizuje z chłopakami. Ja bym tak nie zrobiła. I powiem całkiem szczerze, że nie kiedykolwiek mam podejrzania co do niektórych przyjaźni, jakie syn zawiera... Nie ożenił się, jednak utrzymuje bliskie stosunki z pewną panią, sporo starszą od siebie, z którą ma dziecko. Nigdy nie rozmawiałam z nim otwarcie o moich sprawach. Jednego razu powiedział żartem, odbierając telefon: mam, dzwoni twoja narzeczona. Ja to skwitowałam także żartem. Gdy przyjeżdża, nie dziwi się, zastając u mnie kobiety. Kocha mnie i kocha swego ojca. Mimo to, starzy i chorzy, bylibyśmy mu ciężarem. On musi pracować, rozwijać się i podróżować, bez obciążeń. Myślę, że fakt, iż mieszka z nami ktoś energiczny i młody, uspokaja go. Nie jestem wprawdzie jeszcze ani stara, ani chora. Lecz kto wie, co może się zdarzyć?

— Ktoś dzwoni do drzwi...

— To ona wraca. Zmienimy temat. Ona nie wie, że nasza rozmowa ukaże się w prasie.

— Ale dowie się, bo przeczyta.

— Więc bardzo proszę, by zmieniła Pani szczegóły. Dla ludzi z zewnątrz uchodzimy za ciocię i siostrzenicę. Tak musi pozostać.

Rozmawiała EWA FOSS

Ciąg dalszy ze str. 1

Wojciech Wysocki ma jakiś talent śpiewający — nie słucham radio, nie wiem — ale to, co zademonstrował w wyżej wymienionym filmie jako rzekomy idol, uraga wszelkiej „muzykalności”. Wysocki nie umiał ani wyglądać, ani postawać, ani zachowywać w czasie smutno — nieudanego występu przekonać, że kiedykolwiek mógł być idolem. Złośnie wypadła, niestety, pozostała obsada z pewną dziewczyną tak jaskrawo nie umiejac grać, że widzę czuła się w kinie za nowym. Słowem, oba te filmy mogły sobie kinematografia polska darować, co potwierdziła także publiczność, nie interesując się nimi.

Łosciowo na drugim miejscu znalazły się dramaty współczesne — od lat zaj-

Marie Gładkowską film był i pozostał wielkim wydarzeniem. Warto dodać, że anonimową „sprawczynią” tego filmu była księżna Daisy, która pozostawiła po sobie pełne gorczy pamiętniki wydanego w dwu tomach a dotyczące w tej samej mierze Pieszczyny co... Książka na Śląsku Dolnym.

Po triumfie filmem „Nad Niemnem” Kuźmiński trochę spuścił z tonu realizując tym razem Rodziewiczówny „Między ustami a brzegiem pucharu”. Dokonał jednak ze swym scenarzystą Radowiczem wielkiej pracy tworząc ze smutnej pamięci powieści odczytany i chwila elegancji film. Jego sukces zawdzięczamy pięknej fotografii, dobremu kreacji Jacka Chmielnika i ciekawej Katarzyny Gładkowskiej i w sposób zdumiewający pominięty wśród gdynskich nagród Henryka Bisty w swej najświetniejszej roli.

złą panią Frankowską — Teter, ale na iwność scenariusza przekreśliła szlachetne wysiłki twórców.

Z tego powodu jedynym poważnym filmem bardziej może psychologicznym, interwencyjnym niż kryminalnym był „Krótki film o zabijaniu”, zaopatrzony niestety w fatalny tytuł. Film miał bowiem normalny metraż ale niezwykle zadanie: przekonać widza, że kara śmierci nie jest na miejscu w cywilizowanym świecie. Krzysztof Kieślowski wybrał jednak zły przykład pokazując całkowicie zdegenerowanego łajdaka, który zabija zupełnie niezanego sobie człowieka w sposób plugawie brutalny (waląc go dzie sięć razy ciężkim kamieniem w głowę) i chce, abyśmy się potem litowali nad tym, że mu się zakłada pętlę na szyję. Przyznam, że nie litowałem się... Film jest świetnie zrobiony i całkowicie nieprzekonywający.

Dwa były dramaty polityczne i oba najwyższej wagi. Nagrodzona „Srebrnym niedźwiedziem” dla reżysera Janusza Zaorskiego w Berlinie Zachodnim „Matka Królów” nie wymaga już dodatkowego komentarza. To jeden z nielicznych filmów wyświetlanych w mijającym sezonie na najwyższym polskim poziomie, w rodzaju „Popiołu i diamentu” czy „Człowieka na torze”. Ponadto, niewątpliwie najwybitniejszy film reżysera i najlepsza kreacja aktorska (Magda Teresa Wójcik) słusznie tym razem nagrodzona w Gdyni.

O ile wiedzieliśmy wiele o talencie Zaorskiego, to nie o talencie Waldemara Krzystka i jego scenarzystki Małgorzaty Kopernik. Okazuje się, że dwoje debiutantów stworzyło znakomity film „W zawieszeniu”, wsparty także kreacjami

FILMOWY PLON

muje niekwestionowane miejsce pierwsze. Było ich siedem: „Życie wewnętrzne” Marka Koterskiego, „Weryfikacja” Mirosława Gronowskiego, „Maskarada” Janusza Kijowskiego, „Niedzielne Igraszki” Roberta Glińskiego, „Anioł w szafie” Stanisława Różewicza, „Cyrek odjeżdża” Ryszarda Wierzbickiego i „Sonata Marymoncka” Jerzego Ridana.

Niestety, nie mamy się czym pochwalić w tym zestawie. Co prawda Marek Koterski zyskał niemałe uznanie w Gdańsku (i „Srebrne Lwy”), ale obejrzałem ten film dwa razy powstrzymując się z trudem od zażenienia: tonie on w niemądrych i do niczego nie prowadzących dialogach, a już „życie wewnętrzne” pokazane na ekranie kukiełki w postaci Wojciecha Wysockiego i Joanny Senkiewicz nie mają za grzech. Szkoda, bo „Dom wariatów” tegoż autora zapowiadał bardzo wiele. Dodam, że inni krytycy wielbili „Życie wewnętrzne” — publiczność stanęła po mojej stronie.

Nie znany mi jeszcze Mirosław Gronowski próbował w filmie „Weryfikacja” ukazać trudności, jakie napotykał dziennikarz w stanie wojennym. Zapewne i reżyser miał trudności ze scenariuszem, i filmem, gdyż przegadał Marka Kondratę i Jana Englerta jest całkowicie fałszywa. Stąd dziennikarz lub ktoś inny mógł samochodem ciężarowym przejechać całą Polskę wzdłuż i wszerz nie napotykając chociażby kłopotów z tankowaniem benzyny? Film nie tyle zdjęty z polki, ile nakreślony na księżycu.

„Maskarada” to na odmiennie mało zrozumiała walka o co? — o popularność, o pozycję w kraju, o dobry teatr? — między Bogusławem Lindą a Zbigniewem Zapasiewiczem, przy czym obu przeszkadza Teresa Budzisz-Krzyżanowska, aktorka zapewne przekonująca na scenie, niestety na ekranie pozbawiona osobowości. Bez tej nieodzownej cechy całe najlepsze nawet aktorstwo nie zda się na nic. Czy tego polscy reżyserzy nie zauważyli?

„Niedzielne Igraszki” — ten tytuł zadziwi niektórych, bo bohaterami są wyłącznie dzieci. To prawda, ale film jest ostrzeżeniem dla dorosłych i to zrobionym świetnie. Szkoda, że trafił na ekran w okresie otwartości, przeto publiczność mówiła sobie „znamy, wiemy, nic nowego” — a film był zrealizowany z niemałym talentem i ze względu na nie właściwy okres eksploatacji przepadł z kretelem. Oto jak z premedytacją robi się krzywdę ważnym filmom.

Jak zawsze wysoki poziom artyzmu wykazał film Różewicza „Anioł w szafie”. Niestety jego powolność i jakby zaduma reżysera sprawiły, że się sprawdzić nie mógł.

„Cyrek odjeżdża” powinien odjechać (w formie scenariusza), zanim przybrał kulę w wygląd ekranowy. Szkoda talentu Ewy Szykulskiej, o innych aktorach w tym filmie nie wspomnę.

Trochę nas na nogi postawił debiut Jerzego Ridana „Sonata Marymoncka” w najdziwniejszy sposób odsunięty w Gdyni na drugi plan (pokazy pokazunkowo). Na dodatek wyświetlano go w czasie zjazdu filmowców tylko po to, aby już absolutnie nikt nie mógł tego ciekawego filmu ujrzeć. „Sonata” to rzetelny debiut wsparty znakomitą kreacją Olafu Lubaszki i dwudziestu czołowych aktorów polskich, nawet w najdrobniejszych epizodach. Prawdziwa uczta dla oczu i uszu. Moim zdaniem mroźna nagroda w Gdyni, gdyby temu filmowi pozwolono znaleźć się w konkurencji...

Cztery filmy zaliczyłem do dramatów historyczno-kostiumowych. Oczywiście pierwsze miejsce zajmuje „Wierna rzeka” pięknie przez Tadeusza Chmielęskiego wyreżyserowana z doskonałymi kreacjami Małgorzaty Pieczyńskiej (jej debiut i najbardziej udany występ), Olgierda Łukaszczyka, Franciszka Pieczyńskiego i tym razem znakomitego Wojciecha Wysockiego!

Drugie miejsce zajmuje „Magnat”, którego jury w Gdyni uhonorowało słuszną nagrodą specjalną „zapominając” jednak o pamiętnej i epokowej w naszej kinematografii kreacji Jana Nowickiego. Grany popisowo także przez Olgierda Łukaszczyka, Jana Englerta, Bogusława Lindę, Grażynę Szapolowską i

Wreszcie, coż począć ze „Szkolą kochanków” czyli Cosi fan tutte bardzo sympatycznego debiutanta Krzysztofa Tchórzewskiego. Pokazał piękne dziewczyny, niezłych młodzieńców, cudowny Gołuchów ale zapominał skosić trawę przed pałacem (w XIX wieku!!!) i ogolił kilka wykonawczych, którym by się ten zabieg równie przydał jak trawnikowi.

Trzy były „komedie”. To słowo zawsze piszę w cudzysłowie, gdyż gdzieś nam do komedii, odkąd przestali je kręcić tak Chmielewski, jak i Chęciński. Pozostaje nam drugi i trzeci garnitur... Niestety, zawiodł tak zwykle przeżny Radomir Piwowarski, twórca uroczego filmu „Yesterday” i pamiętnego dzieła „Kochankowie mojej mamy” — filmem „Pociąg do Hollywood”. Wiele przereklamowana



Scena z filmu „Kingsajz” Juliusza Machulskiego

Katarzyna Figura była tak strasznie ukształtowana, że straciła połowę swojego jedynego atutu czyli urody, a Piotr Siwkiewicz miał rolę żalonną. W filmie coś pękło i najlepsze chęci nie dały pozytywnego rezultatu. Szkoda, spóźniano się „bomby”!

Wielu ucieszyła „komedia” pt. „Misia specjalna” a tolerancyjna Aleksandra w „Przekroju” oceniła nawet film ten wysoko. Może Aleksandra jest za młoda, ale pamiętać „Być albo nie być” w wersji Lubitscha. To był film o okupacji w Polsce zrobiony w Hollywood ale z jakim poczuciem humoru! W „Misiu specjalnym” humor był ciągnięty za włosy, stawiając zbyt wielkie wymagania Kowalewskiemu.

„O rany, nie się stało” Waldemara Szarka — była to „komedia” obok filmu, który mógłby być powstać, gdyby ktoś się zlitował i napisał scenariusz.

Trzy były także filmy „kryminalne” a cudzysłów daję z tych samych co powyżej powodów. Nader zgrabne było „Prywatne śledztwo” Wojciecha Wójcika ale zbyt często powtarzane sceny kraks na szosie (robione nieudolnie) raczej nużyły widza, niż podniecały, a końcowa niespodzianka — w założeniu dobra — nie całkiem wypaliła. Roman Wilhelmi i Jan Peszek byli nienajgorsi, ale jak zawsze wyróżniał się Jan Jankowski — chociaż w epizodzie. „Koniec sezonu na lody” dał niezłe pole do popisu Wojciechowi Pokorze (najlepsza jego rola na ekranie) i wprowadził nie-

Krystyny Jandy i Jerzego Radziwiłowicza a dotyczący losu niewinnie skazanego, który musi w piwnicy przetrzymać najcięższe czasy.

Wreszcie mieliśmy (na razie jeden, ale za to pierwszy) dramat czysto erotyczny — „Łuk erosu”, którym Domaradzki zrehabilitował się po nieudanym „Białym smoku”. Książka Kadena — Bandrowskiego — między nami mówiąc trudna do czytania ramota — została unowocześniona pod względem wizualnym, oprómniona urodą Grażyny Trel i talentem Olafu Lubaszki, gorzej wypadły (świetnie grane) sceny ze Stuhrem chwila nieapetyczne ale może konieczne, aby odróżnić odrażającą namiętność od pięknej i pięknie pokazanej miłości prawdziwej.

Przegląd mój nie byłby pełny, gdybym nie wspominał o rozpowszechnianym w kinach studyjnych filmie Andrzeja Ziulawskiego „Diabeł”, w którym nie gusowałem przed wielu laty, zobaczysz go po raz pierwszy i nie zmieniam zdania obecnie. Film jest rozpasany, krzykliwy, nieskoordynowany, przesadnie grany, kontynuuje nieszczęsną linię „Trzeciej części nocy” ale o wiele słabszy. Dlaczego tak długo spoczywał „na półce”, nie mam pojęcia, gdyż chyba nikt go nie obraża, z wyjątkiem ludzi o zbyt wytwornym smaku. Ci jednak — obok kilku scen wyraźnie odrażających — dostają w nagrodę piękne widoki zanku w Książu, a to już jest coś.

LEON BUKOWIECKI



W kadrze zatrzymane

W zielonogórskim Klubie MPiK swoje fotografie eksponował Tomasz Gawalkiewicz — wieloletni fotoreporter Centralnej Agencji Fotograficznej i od 1968 r. stały współpracownik „Gazety Lubuskiej”, publikujący także na in-



Zwierzęta dla dzieci

Gorzowianin, Jan Gross, satyryk znany z prasy i radia, za temat swej ostatniej książki obrał zwierzęta, duże i małe.

Zbiorek króciutkich wierszyków, „Od biedronki do żyrafa”, to rzecz świetnie nadająca się do lektury dla dzieci, sympatyczny przyczynek do dziecięcego poznawania świata, oswajania się z różnymi stworzeniami, widzenia ich piękna, niepowtarzalności, wreszcie — odrębności.

KLUBOWE WIZYTOWKI

W województwach gorzowskim i zielonogórskim zakończyły się już współzawodnictwa klubów pod hasłem „Złoty Klub RSW”, ogłoszone w ubiegłym roku przez Zarząd Główny RSW. Prasa-Książka-Ruch” wspólnie z Ministerstwem Kultury i Sztuki, Zarząd Głównym ZSMP i Zarządem Krajowym ZMW. Kolejna edycja współzawodnictwa adresowana była do klubów prasy i książki oraz do wszystkich oddziałów RSW i wiązała się z 40-leciem i 70 rocznicą Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej.

Zadaniem tego przedsięwzięcia była dalsza aktywizacja środowiska wiejskiego, poszukiwanie nowych, oryginalnych form pracy wychowawczej, oświatowej

nych lamach. Wśród nagród, które otrzymał uczestnicząc w konkursach fotografii prasowej, do najbardziej cennych należą dyplomy honorowe z World Press Photo w Hadze (w 1969, 70 i 77 r.) oraz srebrny medal z Interpress-foto w Moskwie (1977). W swym dorobku wystawienniczym, poza udziałem w prezentacjach zbiorowych, posiada indywidualną wystawę o charakterze przeglądowym oraz tematyczne: „Lubuskie Łaty Filmowe”, „Nafta” i „Budowa Huty Miechów”.

Najnowsza jego prezentacja obejmuje 40 fotografii czarno-białych w dużym formacie, wybranych z ostatnich pięciu lat i przeważnie już w prasie publikowanych. To reporterskie notatki m.in. z wyborów miss, festiwalu piosenek radzieckiej, konkursu fryzjerskiego i meczu żużlowego, a także socjologiczne obrazy i impresje z powszedniego życia.

Tomasz Gawalkiewicz, należący do średniego pokolenia fotoreporterów (ur. 1944) poprzez swoje zdjęcia nie narzuca opinii odbiorcy w sposób właściwy

tw. szkole ostrego widzenia. Cechą każdej fotografii jest to, że nadaje ona rangę wszystkiemu, co przedstawia. Sugestia Gawalkiewicza polega właśnie na wyborze i prostym, lustrzanym odbiciu fragmentu rzeczywistości.

Wśród rozmaitych wystaw, te autorские fotoreporterów należą do bardzo nielicznych. Bo też najczęstszym miejscem ekspozycji są dla nich łamy różnych gazet i czasopism. Fotoreporterzy są zatem w pewnym stopniu uzależnieni od możliwości publikacji i potrzeb redakcji. A na ostateczny kształt i wyraz ich zdjęć wpływa także niska jakość druku, szczególnie dotkliwa dla autorów w przypadku prac o walorach artystycznych. Może by więc przy tej okazji warto zachęcić lubuskie fotoreporterów, by powrócili do organizacji wspólnych pokazów? Bowiem poprzednie — w latach 1978, 79 i 81 — cieszyły się dużym zainteresowaniem Lubuszan. Większym, niż często trudna w odbiorze, fotografia artystyczna.

ELŻBIETA LEŃSKA

do żonglowania przeróżnymi podobieństwami dźwiękowymi. Pomocny jest wtedy każdy szczegół, sposób życia, zdobycia pokarmu, wygląd.

Niektóre z wierszyków mają posmak satyry — na żyrafę, na pelikana; inne zaś są zwyczajnymi, „poważnymi” myślami o zwierzętach (słoń — najlepszy trebaczący w zoo). Wydaje się to zaletą, a nie wadą. W ten bowiem sposób Gross ostrzega całość przed monotonią jednej techniki. Zbiór nie jest jednolity i nie nudzi. Obrazowość miesza się z definicją, ta z satyrą i spostrzeżeniem. Niczego nie jest za dużo. Chyba tylko za mało w tym wszystkim świeżości.

Cena (100 zł) nie powinna rodziców odstraszać przed kupieniem swym pociechom przeglądau zwierzęcego inwentarza w postaci widzianej przez Jana Grossa, „Od biedronki do żyrafa”.

MALGORZATA KOWALSKA-MASŁOWSKA

Jan Gross: Od biedronki do żyrafa. Ilustrował Jerzy Wróblewski. „Pomocze”. Bydgoszcz. 1987 r.

Najlepsi

i kulturalnej, rozwijanie współpracy z organizacjami społeczno-politycznymi, poprawa bazy lokalowej, wyposażenie w meble i sprzęt audiowizualny. Ponadto, upowszechnienie wiadomości o RSW oraz popularyzowanie wiedzy o Związku Radzieckim przez włączenie się klubów do turnieju pod nazwą „Klubowe spotkania z Krajem Rad”.

Podstawowym kryterium oceny klubów był całokształt ich działalności, różnorodność form pracy kulturalno-oświatowej w danym środowisku itp. Do kumentacji działań związanych ze współzawodnictwem stanowi kronika, materiały prasowe na temat pracy klubów, scenariusze imprez.

Regulamin współzawodnictwa przewidywał punktację od dwóch do dwudziestu

punktów za preferowanie poszczególnych form działalności. Te placówki, które prowadziły najbogatszą i najwzrostniejszą działalność, udokumentowaną w kronikach, otrzymały największą ilość punktów decydujących o zajęciu kolejnych miejsc.

Łącznie z obu województw do współzawodnictwa przystąpiło 90 klubów. Bezkonkurencyjny okazał się Klub Prasy i Książki w Nowym Kramsku, w województwie zielonogórskim, który zgromadził największą ilość punktów i uzyskał pierwsze miejsce. Drugie i trzecie miejsce zajęły kluby w Łężyce i Przybrowie. W województwie gorzowskim najlepszym okazał się Klub w Rybakowie. Tak więc placówki RSW z Nowego Kramsku i z Rybakowa reprezentować będą przedsiębiorstwo zielonogórskie we współzawodnictwie na szczeblu centralnym.

We współzawodnictwie pomiędzy oddziałami pierwsze miejsce zajął Oddział RSW w Żarach.

ZENON CZARNECKI

GUBIN '88



Gubin od lat należy do aktywnych ośrodków życia filatelistycznego województwa zielonogórskiego. A rok bieżący też zapisał się znaczącymi wydarzeniami filatelistycznymi. W dniu 5 maja br. w salach tutejszego ratusza została otwarta II MŁODZIEŻOWA WYSTAWA FILATELISTYCZNA Okręgu Zielonogórskiego PZF inaugurująca w ruchu filatelistycznym Środkowego Nadodrza obchody 70 rocznicy odzyskania niepodległości. Na uroczystość otwarcia przybyli obok wystawców i opiekunów młodzieżowych kół filatelistycznych przedstawiciele władz polityczno-administracyjnych z mgr Tadeuszem Bielakiem — I sekretarzem KM PZPR, mgr inż. Kazimierzem Dębickim — naczelnikiem miasta i plk. Zygmuntem Traczykiem — przewodniczącym Rady Koordynacyjnej Kultury. Gubin — Wilhelm Pieck-Stadt reprezentowała 5 osobowa delegacja z Horstem Schwitzkim — członkiem Zarządu Okręgu Związku Filatelistów NRD, a Zieloną Górę mgr Sobiesław Piątek — prezes ZO PZF i mgr Janusz Baszyński — przewodniczący Komisji Młodzieżowej. Zebranych gości powitał Kazimierz Szumny —

przewodniczący Komitetu Organizacyjnego Wystawy, a następnie mgr S. Piontek omówił założenia ideowo-programowe II okrojowej wystawy młodych filatelistów.

Na wystawie zgromadzone 42 ekspozycje, w tym 6 zbiorowych z mkf Głogów, Kargowa, Lęknica, Wolsztyn i 2 z Zielonej Góry. Wśród młodzieżowych opracowań wiele nawiązywało bezpośrednio do rocznicy odzyskania niepodległości (P. Rudzki — Gubin — „70 lat niepodległości”, E. Kosik — Cigacice — „Sejm — prezydenci”, P. Majerczyk — Zielona Góra — „Godło Polskie”, P. Machniuk i E. Orlowska, oboje z Zagania, „Walka i męczeństwo narodu polskiego”). Jury wystawy w składzie: Bronisław Jasicki (Poznań) — przewodniczący, a także Mieczysław Goździewicz i Bogusław Olechnowski (Zielona Góra) wyróżniło młodzieżowe ekspozycje przyznając dyplomy w randze medali: srebrnych 5, posrebrzanych 8 i brązowych 10. Dyplomy uznania otrzymało 19 ekspozycji. Młodzież liczyła na wyższe wyróżnienia, ale należy pamiętać, że w tym u nas. Opiekunowie kół młodzieżowych muszą dołożyć więcej starań i udzielić pełniejszej pomocy tym wystawcom, których ekspozycje na II Młodzieżowej Wystawie Filatelistycznej zdobyły pierwsze medale. Komisja Młodzieżowa Okręgu PZF winna znacznie zainteresować działalność wystawienniczą młodzie-

ży. Więcej pokazów i wystaw okolicznościowych, co dwa lata kwalifikowana wystawa okręgowa. Tylko w ten sposób będzie można usatysfakcjonować aspiracje młodych zbieraczy. Ponadto na wystawie zaprezentowano kilkanaście projektów znaczków wykonanych przez młodych. Wystawców obok dyplomów nagrodzono skromnymi podarunkami rzeczowymi.

Organizatorzy gubińscy należycie wypełnili swoje zadania. Przejrzysty układ ekranów wystawienniczych, bogato zaopatrzone w nowości stoisko pocztowe, okolicznościowy kasownik sprawiły, że wystawa cieszyła się dużym zainteresowaniem zwiedzających.

Centralny przegląd amatorskich zespołów estradowych Wojska Polskiego, który odbył się w Gubinie (25-29 maja br) wykorzystano dla zaprezentowania byłym gościom dorobku wystawiennicze go gubińskich filatelistów. Zorganizowana z tej okazji wystawa zgromadziła najlepsze ekspozycje, dobrze zapisała się w pamięci nie tylko uczestników przeglądu, ale także miejscowego społeczeństwa. Koło PZF nr 1 wydało okolicznościową kopertę, a upr. GUBIN 1 sto sował pamiątkowy datownik.

Na jesieni br. odbędzie się w Gubinie okrojowa wystawa filatelistyczna (kwalifikowana) upamiętniająca 45-lecie ludowego Wojska Polskiego.

M. SŁAWOMIR

Święto Ludowe

Zgodnie z tradycją uroczystości obchodzili swoje święto lubuscy rolnicy. Złożyły się na nie okolicznościowe zebrań, akademie, festyny, kiermasze, występy zespołów ludowych, wystawy sprzętu rolniczego, zawody strażackie, imprezy sportowe. Wojewódzkie uroczystości zorganizowano: w Gorzowskim — w Przytocznej, w Zielonogórskim — w Bojadłach. Mówiono o wspólnej polityce rolnej PZPR i ZSL, która dała już pierwsze rezultaty, ale domagano się większego niż dotychczas uwzględnienia potrzeb wsi nie tylko w dziedzinie gospodarki. A potrzeby te są nadal obciążające. Wielu rolników, ludowców, wieloletnich działaczy społeczno-kulturalnych uhonorowanych zostało wysokimi odznaczeniami państwowymi i regionalnymi oraz medalami „Za zasługi dla ruchu ludowego”.

Dzień działacza kultury

Stanowił finał majowych „Dni Kultury”. Wojewódzka uroczystość z tej okazji odbyła się w Zagańskim Pałacu Kultury. W Sali Kryształowej spotkali się działacze i pracownicy kultury z całego województwa, działacze harcerstwa, przedstawiciele wojewódzkich i miejskich wład. Najbardziej zasłużeńi otrzymali odznaczenia państwowe, honorowe, dyplomy i nagrody. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski odznaczono Bogumiła Rogowicz — kier. Gminnej Biblioteki Publicznej w Otyniu. Złoty Krzyż Zasługi otrzymało 7 osób, odznaki honorowe „Zasłużony Działacz Kultury” 6 osób, 3 zaś złote odznaki „Za opiekę nad zabytkami”. Laureatką Nagrody ministra Kultury i Sztuki została Barbara Bobińska, dyrektor Biblioteki w Lubsku, natomiast dyplomy honorowe Świebodzińskiego Domu Kultury i Bogusław Kapuśniak z Kozuchowskiego Ośrodka Kultury.

Na podobnym spotkaniu w Gorzowie Krzyżem Kawalerskim OOP uhonorowano pracownika Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej — Annę Aszenberg. Złote Krzyże Zasługi otrzymały 4 osoby, srebrne — 9, brązowe — 3. Kilkunastu osobom wręczono honorowe odznaki „Za zasługi dla województwa gorzowskiego” oraz „Zasłużony Działacz Kultury”. Nagrodę ministra Kultury i Sztuki otrzymał zasłużony działacz z Bogdanca — Stanisław Ligocki, zaś honorowe dyplomy ministra Grzegorz Kowalec z GTM, Anna Makowska-Cieleń z GTM oraz Wojewódzka Biblioteka Publiczna.

Gorzowskie spotkania

teatralne

Trwały przez ponad dziesięć dni, a zainaugurowała je pantomimiczna wersja sztuki I. L. Pereca „W nocy na starym rynku” w reż. Szymona Szurmiej, wystawiona przez Państwowy Teatr Żydowski im. Estery Racheli Kamińskiej z Warszawy. Wystąpiły też: Teatr Stu z Krakowa z „Kto się boi Virginii Woolf?” E. Albeego; Teatr Ochoty z Warszawy z „Morfina 0,05” M. Bulhakowa; Teatr Wybrzeże z Gdańska z „Portretem” S. Mroźka; Teatr im. Stefana Jaracza z Łodzi z „Bramami Raju” J. Andrzejewskiego; Teatr im. Juliusza Osterwy wystąpił ze spektaklami „Makbeta” Shakespeara oraz „Pokoju” Geneta. Impreza cieszyła się dużym zainteresowaniem widzów.

„Żołnierska Estrada”

Zakończył się centralny przegląd amatorskich zespołów estradowych Wojska Polskiego „Gubin 88”. Do konkurencji stanęło 17 zespołów ze wszystkich okręgów wojskowych, rodzajów wojsk i instytucji centralnych MON, w sumie około 500 osób. Konkursy konkursowe odbywały się w miejscowym kinie „Grunwald” — zaś w jury konkursu, które m. in. przewodniczył plk. Juliusz Zieliński, zasiadali znani wykonawcy, autorzy tekstów, działacze kultury m.in. Marek Sewen, Janusz Szczepkowski, Marian Pyszniak, Ryszard Kućwicz. Konkursowi towarzyszyło forum dyskusyjne z udziałem kierownictwa poszczególnych zespołów i studentów studium teatralnego Domu Wojska Polskiego, poświęcone problemom warsztatowym. Większość zespołów zaprezentowała oryginalny, ambitny program. Decyzją jury laureatami trzech głównych równorzędnych nagród zostali: Zespół Estradowy „Kirasjerzy” kier. Krystyna Kuźniarska (Pomorski Okręg Wojskowy), Zespół Estradowy „Źródło” kier. Wojciech Nalecz (Instytucja Centralne MON) i gubiński



DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY — PIŚMIO LUBUSKIEGO TOWARZYSTWA KULTURY

Adres redakcji: 65-067 Zielona Góra, pl. Sobotery Stalingradu 13, I p. oraz adres dla korespondencji: 65-938 Zielona Góra, skrytka pocztowa nr 40. Telefon: redaktor naczelny i sekretariat 708-35, sekretarz redakcji 39-13 oraz centrala 46-61 do 7 (dla telefonów wewnętrznych) Telex 043225. Redaguje zespół: Halina Aniska-Skarbek, Leszek Hiermanowicz (red. graf. techn.), Janusz Koniusz (red. naczelny), Zenon Łukaszewicz (z-ca red. naczelny), Wiesław Nodzyński (sekretarz)



Zespół Estradowy „Pancerni”, kierowany przez Elżbietę Kamola. Gratulujemy!

Harcerska wiosna

kulturalna

Przez cały tydzień (od 21 maja) ponad trzy tysiące młodych wykonawców ze 159 harcerskich amatorskich zespołów muzycznych, teatralnych, tanecznych i wokalnych działających w woj. zielonogórskim prezentowało w Zagańskim Pałacu Kultury rezultaty swej całorocznej pracy. Koncert galowy w ich wykonaniu uświetnił odbywające się tutaj wojewódzkie obchody Dnia Działacza Kultury. W tym samym czasie odbyło się w Zaganiu posiedzenie Wojewódzkiej Rady Przyjaciół Harcerstwa, której przewodniczył wojewoda zielonogórski Zbyszek Piwoński. Zapoznana się ona z przygotowaniem Komendy Chorągwi ZHP w Zielonej Górze do Harcerskiego Lata 88. Członkowie Rady otrzymali listy gratulacyjne od Naczelnika ZHP, a trzynastu z nich odznaczono medalami „Za zasługi dla Zielonogórskiej Chorągwi ZHP”. W trakcie obrad podkreślono zasługi dla ruchu przyjaźni harcerskiej byłego wojewody zielonogórskiego Jana Lembasa, który kierował pracami Rady ponad 20 lat.

Muzeum Odry

Pod koniec maja odbyło się w Głogowie i Nowej Soli robocze spotkanie organizatorów Muzeum Odry, którego pomysłodawcą jest red. Jerzy Kuliniak z katowickiej rozgłośni PR i TV. Istotą tego pomysłu jest, aby w oparciu o już istniejące placówki muzealne w nadodrzańskich miejscowościach od Raciborza po Szczecin, zorganizować ciąg ekspozycji ukazujących różnorodność związków Odry z dziejami naszego narodu i państwa. I tak w głogowskim Ośrodku Archeologiczno-Konserwatorskim powstaje już wystawa poświęcona dziejom tego grodu, w muzeum nowosolskim, zaś ekspozycja poświęcona przyrodzie całego Nadodrza.

Plener Przyjaźni

W Łagowie rozpoczął się XIII „Plener Przyjaźni”. To tradycyjne już twórcze spotkanie artystów plastyków polskich, radzieckich i z NRD organizowane przez zielonogórskie BWA i Wydział Kultury i Sztuki UW towarzyszy Festiwalowi Piosenki Radzieckiej od 1976 r. Plonem plenerów, w których dotychczas wzięło udział ponad 200 artystów, jest kilkadziesiąt dzieł, 150 z nich znajduje się w „Galerii Przyjaźni” w Zielonej Górze.

Zaprosili nas

Muzeum Okręgowe w Zielonej Górze na wystawę ikon rosyjskich XVIII-XX w. ze zbiorów Działu Sztuki Dawnej Muzeum, Nowosolskie Towarzystwo Kultury i Urząd Miasta na obchody Dnia Działacza Kultury, Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury w Zielonej Górze na biesiadę pokoleń w ośrodku „Nowoczesna Gospodyni” w Starym Kisielinie, Miejski Komitet SD i Urząd Miejski w Żarach na otwarcie wystawy retrospektywnej malarstwa Ryszarda Tomczaka, Galeria „po” na otwarcie wystawy Witosiława Czernonki pt. „Rysunek anonimowy”, ZW ZMW i Wojewódzki Komitet ds. Młodzieży w Zielonej Górze na sesję historyczną z okazji 60-tej rocznicy powstania ZMW, kolegium redakcyjne „Stilonu Gorzowskiego” na spotkanie jubileuszowe z okazji 30-lecia pisma. Dziękujemy!

red.) Ryszard Rowiński, Korekta: Maria Fiedorowicz, Elżbieta Nesterów Sekretariat redakcji: Elżbieta Waleńska Wydawca: RSW „Prasa-Książka-Ruch” Zielonogórskie Wydawnictwo Prasowe, al. Niepodległości 23 65-042 Zielona Góra skrytka pocztowa 51 Centrala telefoniczna 46-61 do 57 Dyrektor Zbigniew Pietkiewicz tel. 717-95 Druk: Drukarnia Prasowa ZWP 65-078 Zielona Góra ul. Reja 5. Ogłoszenia przyjmują Biuro Reklam i Ogłoszenia Zielonogórskiego Wydawnictwa Prasowego oraz wszystkie biura ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch” na terenie kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Materiały (tekstów i fotow) nie zamówionych redakcja nie zwraca. W przypadku wykorzystania nie zamówionych materiałów redakcja zastrzega sobie prawo skróć i zmian tytułów.

Z-20

